Nr. 279. Lwów — Czwartek dnia 3 Grudnia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla [illegible] odczytów i koncertów, wszelkie [illegible] składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych [illegible] i t. d. i t. d. [illegible]

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i w Austryi [illegible]
Za zmianą adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy [illegible]
Nadesłane na trzeciej stronicy [illegible]
Ogłoszenia, wiersz petitowy [illegible]
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologie . . . [illegible]
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje [illegible] DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. [illegible]
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym [illegible] za wiersz.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Dziś: św. Franciszka Ks. | Jutro: św. Barbary | Wowed. Boh. Fylymona
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca g. 7 m. 38 | Zachód „ 4 „ —
Długość dnia g. 8 m. 22 | Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Ze srebra — złoto.

Sprawa ogromnego znaczenia dla stosunków monetarnych i po części ekonomicznych zajmuje teraz świat uczonych. Bardzo być może, że jak dotąd doskonale podrabiano banknoty, tak wkrótce można będzie dawać srebru wszystkie pozory złota; możnaby nawet powiedzieć, że wszystkie jego fizyczne właściwości, oprócz ciężaru gatunkowego, który zawsze pozostanie inny; mianowicie złoto, prawie dwa razy cięższe od srebra, nigdy wagą gatunkową nie będzie mu równe. Ale ta okoliczność nie powstrzyma fałszerzy, którzy potrafią otaczać ołowiane blaszki plasterkami srebra, mającego wszystkie inne, prócz ciężaru gatunkowego, właściwości złota — i takie fałsyfikaty będą puszczali w kurs, jako dukaty lub półimperyały. Także fałszerstwo da się zastosować do wszelkich zgoła wyrobów ze złota, a ponieważ ono dzisiaj jest przeszło dwadzieścia razy droższe od srebra, przeto bez długich wyjaśnień każdy zrozumie, jaka stąd wielka szkoda wyniknie dla stosunków monetarnych i złotniczych.

Bardzo głośni chemicy i fizycy amerykańscy zabrali się do sztucznego wyrabiania złota ze srebra. Możnaby tę wiadomość pominąć milczeniem, jak każdy inny bajeczny koncept, gdyby nie to, że doniesienia o tem znajdują się w dwóch zupełnie poważnych naukowych miesięcznikach: w *Industrie électrique* i w *The Mining Journal*. Tacy wybitni chemicy, jak Carey Lea i profesor Remsen, oraz tacy głośni elektrologowie jak Edisson i Tesla stanęli w Stanach Zjednoczonych na czele wielkiej spółki kapitalistycznej, która pod firmą „The argentaurum syndicate" zakłada fabrykę wyrobu złota ze srebra. Carey Lea zasłynął w świecie uczonym swemi badaniami nad różnemi przemianami srebra; Remsen wsławił się podręcznikami chemii, a nazwiska Edissona i Tesla związane są z ogromnem mnóstwem odkryć w dziedzinie elektryczności. Jeśli oni biorą się do zadania średniowiecznych alchemików, to widocznie sprawa jest dość poważna, zwłaszcza że już poprzednie spostrzeżenia nadają jej cechy prawdopodobieństwa.

Zamiar „The argentaurum syndicate'u" przypomniał hipotezę, postawioną lat temu piędziesiąt przez Pranta, a odświeżoną przez Crookesa, że wszystko, co jest na świecie w stanie lotnym, płynnym i stałym, powstało nie z kilkudziesięciu pierwiastków, jak uczy chemia, lecz z jednego wszechpierwiastku. Sławny paryski profesor chemii Wurtz powiedział o tej hipotezie, że „dans la chemie tout est probable, je dirais même tout est possible". A zatem, skoro być może, iż wszystko pochodzi z jednego wszechpierwiastku, to jedne rzeczy, uważane za pierwiastki, jak złoto, srebro, węgiel, mogą zmieniać się w inne. Chociaż jednak ta hipoteza jest może bardzo dowcipna, ale nigdy zapewne nie będzie udowodniona, bo przy temperaturze możliwej dziś do osiągnięcia sposobami sztucznemi niepodobna żadnego pierwiastku zmienić w inny. Umysł ludzki pozwala przypuszczać, że kiedyś mogła być na ziemi temperatura tak wielka, wynosząca dajmy na to miliony stopni Celsiusza i że w takiej temperaturze istota rzeczy zupełnie się przekształcała i ciężary gatunkowe nie były stałemi, ale dziś takiej temperatury niepodobna osiągnąć, zatem hipoteza o jednym wszechpierwiastku zachowa zawsze znaczenie tylko fantazyi — i srebra niepodobna będzie zmienić chemicznie i fizycznie w złoto.

Lecz można je zmienić pozornie. Tak samo jak złoto będzie się ono kuło, wyglądało i dawało zastosowywać się w złotnictwie. Kilka lat temu chemik Carey Lea zdziwił świat uczonych doniesieniem, że czyniąc przeróżne roztwory srebra, wpadł przypadkowo na jeden taki roztwór, przy którym srebro wydzielało się plasterkami podobnymi do złota. Ile było laboratoryów chemicznych, wszędzie zaczęto robić to próby i wszędzie otrzymywano takie plasterki od koloru złota żółtego, aż do tak zwanego czerwonego. Siłą badania przekonały, że takie złociste srebro, chociaż nieco zmieniło swe fizyczne właściwości, jednakże chemicznie pozostało czystem srebrem. Wkrótce potem Ellisson oznajmił — a to sprawdzili inni uczeni — że taki sam wpływ na srebro wywiera elektryczność, w końcu sam Tesla doniósł, że pod promieniami Roentgena plasterek srebra zmienia się na pozór w złoto. Te odkrycia nie miały jednak praktycznej wartości dla świata uczonego, bo wyrób sztucznego złota ze srebra był droższy od złota naturalnego. Teraz jednak ci uczeni, głównie Tesla i Carey Lea, wymyślili podobno tani sposób produkowania złocistego srebra i oto powstała kapitalistyczna spółka, która się zajmie tą fabrykacyą. Odkryto tedy legendowy kamień filozoficzny z III wieku po Narodz. Chr. P. i może da się teraz zrozumieć wiele zagadkowych twierdzeń w dziełach alchemików z XVI i XVII wieków, — nauka zyskać może, ale realne życie wiele straci, jeżeli niepodobna będzie bez chemicznego laboratoryum odróżnić złota od złocistego srebra. Kwestya systemów monetarnych znowu się narzuci z całą siłą i pomimo największych usiłowań monometalistów złotych trzeba ją będzie rozwiązać na korzyść srebra. Tak chemia przyjdzie w pomoc rolnictwu i w ogóle krajom ubogszym.

Kwestya prochowa.

W roku bieżącym kończy się kontrakt austryackiego ministeryum wojny z akcyjną spółką dynamitową Nobla o dostawę do armii bezdymnego prochu. Kontrakt ten zawarto w roku 1890, zaraz po wynalezieniu tego prochu, a więc w chwili, gdy on jako nowość był drogi. Względy finansowe nie pozwalały bardzo powiększyć rubryki wydatków na proch, który przedtem znany pod nazwą czarnego, był tani o tyle, że bez zbytecznej oszczędności można go było do woli używać przy ćwiczeniach; jednocześnie zaś względy militarne nakazywały nie uszczuplać ćwiczeń; z tej sprzeczności interesów finansowych i militarnych znaleziono wyjście takie, że zrobiono trzy gatunki prochu bezdymnego: najtańszy do ładunków ślepych, średni do ćwiczeń w celnem strzelaniu i drogi do celów wojennych. Różnica ceny zależała od ilości nitrocellulozy, dodanej do prochu, a właśnie bardzo kosztownej. Lecz taki podział prochu na trzy gatunki przedstawiał ważne niedogodności pod względem militarnym. Proch każdego z tych gatunków miał inną prężność, inną siłę rzutu i inaczej oddawał, a zatem ramię żołnierza przyzwyczajało się podczas pokoju do innego oddawania karabinu, niż musiało być na polu bitwy, sam zaś żołnierz czy to artyleryi czy piechoty studyował na ćwiczeniach inne właściwości prochu, niż miały się one okazać w bitwie. Uwzględnić warto i tę okoliczność, że zagraniczna firma Nobla zabierała z Austryi co roku wielką kwotę, o której sądzić można z tego, że 100 kilo bezdymnego prochu skontraktowano za 450 złr.

W następnych latach proces nitrowania cellulozy znacznie uproszczono, w skutek czego potaniała produkcya bezdymnego prochu. Widać to choćby z tego, że akcyonaryusze dynamitowej spółki Nobla otrzymywali 10, potem 15, a wreszcie 25 procent dywidendy. Teraz można mieć 100 kilo tego prochu w najlepszym gatunku za 200 złr. i już zupełnie zaniechać dzielenia go na trzy rodzaje.

Rzecz bardzo naturalna, że spółka Nobla zechce odnowić kontrakt znowu na lat kilka i że znacznie niższej zażąda ceny. Może zgodzi się nawet dać sto kilo za 200 złr., jednak pomimo tego powstał w sferach wojskowych projekt monopolu dynamitowego w Austryi. Za tą myślą przemawiają następujące okoliczności: wyrób bezdymnego prochu zapewne jeszcze potanieje, a doskonałość jego może być zwiększona, jeśli do tej pracy wezmą się nie obcy przemysłowcy, którym szło jedynie o dotrzymanie zobowiązań kontraktowych, lecz pirotechnicy armii austryackiej; spore pieniądze, płacone dotąd spółce Nobla, pozostaną w państwie; i wreszcie na urządzenie odpowiednich fabryk nie potrzeba prawie żadnego nakładu, albowiem wyrabianie nitrocellulozy odbywa się w pospolitych szopach, wzniesionych zdala od ludzkich mieszkań a do wszystkich innych robót służyć mogą dawne fabryki prochu. Naturalnie musi jednocześnie nastąpić upaństwowienie wyrobu dynamitu i o tem zapewne już dawno myślą właściwe sfery, skoro od lat kilku nie wydano ani jednej koncesyi na fabrykacyę wybuchowych materyałów. Monopol dynamitowy — jak każdy inny — może szkodliwie oddziałać na niektóre gałęzie przemysłu, mianowicie na przedsiębiorstwa górnicze, ale na to zawsze znajdzie się sposób. Natomiast niezmiernie ważną jest rzeczą, żeby dostawa prochu dla armii austryackiej nie zależała podczas wojny od zagranicy. Spółka Nobla jest niemiecką, a z Niemcami znajduje się Austrya w trójprzymierzu, więc na razie jest ta strona kwestyi dość obojętną. Któż jednak wie, co się z czasem stać może. Możliwy jest przecie taki wypadek, że dowóz prochu będzie z jakichś powodów przerwany, zapasy ładunków wyczerpią się i oto armia w środku wojny znajdzie się bez naboi. Zapewne tedy ministeryum wojny wystąpi niebawem z projektem upaństwowienia wyrobu dynamitu.

† Ks. Ruczka. — Dyskusya o uniwersytetach.

Piszą nam z Wiednia 1 grudnia:

Zmarły wczoraj w Kolbuszowie kanonik Ruczka, 82 letni nestor w parlamencie austryackim, w którym z krótką przerwą pomiędzy 1865 a 1873 r. zasiadał od r. 1861, sumiennością w sprawowaniu obowiązków poselskich młodszemu pokoleniu przyświecał najzacniejszym przykładem. Przeczytawszy z rana gazety w Café Parisien na rogu Schottenringu i Wäbringstrasse, dawniej w towarzystwie Euzebiusza Czerkawskiego, od 3 lat sam na sam, krzepki staruszek o siwiutkiej głowie, energicznej sarmackiej twarzy, w wysokich butach, których tutaj nie noszą prałaci, udawał się regularnie do niezbyt odległego parlamentu, aby zająć swe miejsce w sali posiedzeń lub na zebraniach komisyi. Ks. Ruczka nie zasłynął jako mówca, przemawiał on bardzo rzadko, głównie w kwestyach specyalnych (n. p. kongruy duchowieństwa), ale swą gorącą miłością narodu i kraju, swym charakterem, imponującym kryształową przezroczystością, swą niezwykłą uprzejmością i rzadką skromnością, jako najstarszy reprezentant świetnych, dawnych tradycyi Koła polskiego jeszcze z przed r. 1873, był szlachetnym wzorem dla młodszych. Z tych głośnych naszych weteranów parlamentarnych z pierwszej epoki konstytucyjnej, teraz żyją już tylko jeszcze dwaj: Smolka i Ziemiałkowski, z których zwłaszcza pierwszy był złączony serdeczną przyjaźnią z ś. p. Ruczką. Do niedawna ks. Ruczka odprawiał wszystkie msze żałobne, które Koło polskie zamawiało za dusze swych zmarłych członków. A odprawiał tych mszy żałobnych bardzo wiele! Bo — rzecz szczególna! — nam przywykłym do klimatu sroższego, zima wiedeńska staje się niebezpieczniejszą niż południowcom i nie mija żadna zimowa kampania parlamentarna, któraby nie przerzedziła szeregów Koła polskiego. Jeszcze przed 2 czy 3 tygodniami ks. Ruczka był w Wiedniu; zasłabszy, pojechał do domu, aby umrzeć wśród swoich, na łonie tego kraju, który kochał tak gorąco i którego służbie w Bogu poświęcił cały długi, szlachetny i przykładny żywot kapłana i obywatela. Cześć jego zacnej pamięci!

Porządek dzienny wczorajszego posiedzenia parlamentarnego, ustanowiony nie bez trudności po różnych wykolejeniach, uległ zupełnej zmianie wskutek wielkich rozmiarów, jakie przybrała dyskusya o płacy profesorów wszechnic, a zwłaszcza o upaństwowieniu czesnego. Ani więc ustawa o majoracie ks. Czartoryskich, ani projekt o podatku giełdowym nie dostały się wczoraj pod rozprawy Izby i, jak się zdaje, sprawy te zapełnią posiedzenia całego bieżącego tygodnia, tak, że dyskusya nad budżetem rozpocznie się dopiero w przyszłym tygodniu.

Dyskusya o uniwersytetach wczoraj nagle podniosła się na wyżyny wymowy parlamentarnej. Wprawdzie wykład generalnego mówcy przeciwko projektowi profesora Ed. Suessa jest raczej w wytwornej formie wygłoszonym fejletonem, niż prawdziwie parlamentarną manifestacyą, a nadto grzeszy widoczną przesadą, dopatrując się „reakcyi" w bardzo podrzędnych objawach surowości tutejszej cenzury teatralnej; natomiast mowy dr. Baernreithera a zwłaszcza profesora Piętaka obok wypowiedzianej na przedostatniem posiedzeniu mowy ministra barona Gautscha, tworzą pocieszający dowód, że poziom parlamentarny, pomimo wszelkich uszczypliwych żarcików zwłaszcza dziennikarskich, nie tylko się nie obniżył, lecz przeciwnie znacznie podniósł. Profesor Piętak nagle stanął w rzędzie najzdolniejszych mówców parlamentarnych, wczorajsza jego mowa co do formy stanowi podobną rewelacyę niepospolitego talentu oratorskiego, jak sławna mowa ś. p. Hausnera w r. 1878, która nagle tego posła postawiła na świeczniku parlamentarnym. Merytorycznej strony kwestyi, o której toczyły się rozprawy, czy upaństwowienie czesnego przyczyni się do podniesienia lub obniżenia poziomu wszechnic austryackich — nie rozstrzygamy. Obrońcy dotychczasowych urządzeń opierają się wyłącznie na tradycyach wszechnic niemieckich, gdy w wszystkich innych krajach wszechnice wywiązują się przecież także należycie z swego zadania, chociaż tam nie istnieje instytucya tak zwanych „Collegiengelder". Z drugiej strony trzeba przyznać, że, o ile minister oświecenia, prof. Rosskowski i referent komisyi p. Milewski poważnemi argumentami popierali projekt rządowy, o tyle zaszkodził mu wczoraj dr. Kaizl niezmiernie płytkiemi i trywialnemi porównaniami.

Nasze zdanie o kwestyi spornej po wczorajszych rozprawach streszcza się w starorzymskiej formułce: „Non liquet!". W każdym razie tak prof. Piętak, jak dr. Milewski z wielką stanowczością i zupełną szczerością zaznaczyli, że Koło polskie, głosując za projektem rządowym, nie zamierza bynajmniej obniżyć poziomu wszechnic niemieckich, zwłaszcza wiedeńskiej, której doniosłość uznaje i której rozkwitu pragnie. Zważywszy, że także bardzo znaczna część posłów niemieckich stronnictw oświadcza się za projektem a profesorowie wszechnicy wiedeńskiej świeżo przesłali ministrowi oświecenia petycyę za projektem rządowym, insynuacya niektórych przeciwników projektu, jak gdyby jego celem było sztuczne podkopanie powagi i wpływu wszechnic niemieckich, na korzyść dwóch polskich i czeskiej, nosi na sobie cechę śmiałej tendencyjności.

Korespondencye.

Wiedeń 28 listopada.

Sprawozdanie p. Szczepanowskiego o budżecie. — Dochody monarchii. — Bilans handlowy. — Stosunek do Węgier. — Nieścisłość obliczeń zagranicznego zadłużenia Węgier.

Referat posła Szczepanowskiego o budżecie na rok 1897, jak zawsze, zawiera i tym razem bardzo zajmujące cyfry, odnoszące się do dochodów monarchii, jej bilansu handlowego i stosunku Austryi do Węgier. Komisya budżetowa przyjęła dochody państwa na 689,150.000 zł., a rozchody na 688,040.000 zł., tak iż jako nadwyżka dochodów wypada suma 1,150.000 zł. Nadto na inwestycye przeznaczono 30,130.000 zł., na co państwo posiada pokrycie tylko w wysokości 4,850.000 zł.; resztę zaś, tj. 25,300.000 zł., skarb będzie musiał pokryć pożyczką. Dochody preliminowano bardzo ostrożnie; chociaż bowiem w ostatniem sześcioleciu dochody wzrastały przeciętnie o 11 milionów rocznie i chociaż w roku 1895 wynosiły one 698,300.000 zł., tak iż za rok 1897 wyniosą prawdopodobnie 720 mil., mimo to przyjęto w preliminarzu dochód tylko taki, jaki był faktycznie w roku 1894, to jest 689,150.000 zł. Rząd liczy się całkiem słusznie z możliwością niemiłych niespodzianek, które obalają nieraz optymistyczne zestawienia cyfr i które — gdyby budżet nie był ułożony z wielką rezerwą — przyniosłyby deficyt. Przy dzisiejszem obliczeniu dochodów skarb posiada rezerwę 33 mil. zł., o tyle bowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa dochody przewyższą wydatki. Wobec tej rezerwy tak pokaźnej nikogo nie zaniepokoi podniesienie wydatków regularnych o 27 milionów, podyktowane koniecznością wstawienia do budżetu wszystkiego, co administracya państwa wydać musi, a nie uciekania się — jak dotychczas — do zamaskowanych przekroczeń budżetowych, które mącą obraz całej gospodarki państwowej. Z nadwyżek, które skarb w dalszym toku osiągnie, nie będzie można zapewne na razie pokrywać wzrastających wydatków bieżących. W ostatnich siedmiu latach (1889 95) wynosiły te nadwyżki 139 milionów zł., tj. przeciętnie 20 milionów rocznie, a w roku 1895 aż 33.5 miliona zł. Takiej sumy państwo wydać nie może od razu, gdyż potrzebuje zasobów do wyposażenia kas na takie wydatki, na które dochody jeszcze nie wpłynęły, ponieważ zawsze mieć musi pokaźną sumę w pogotowiu na opłacanie kuponów od swych długów, bo wreszcie akcya reformy waluty pochłania i pochłaniać jeszcze będzie dość wielkie kwoty, które zarząd skarbu woli pokrywać ze swej własnej gotówki, niż przez nowe pożyczki. W ten sposób zaoszczędziło państwo przeszło 46 milionów, wypuszczając w obieg oszczędzone srebro zamiast pieniędzy papierowych, ściąganych u ludności, za które miało pożyczyć złota. Nadto nagromadził skarb w swych kasach za 57 milionów złota; z tej sumy ma wypłacić bankowi 30 milionów na rachunek swego długu, resztę zaś odda do dyspozycyi finansowym instytucyom, a w pierwszym rzędzie bankowi austro-węgierskiemu. Wiadomo także, iż kwitów żupnych wykupiono dotychczas za 20 milionów z zasobów kasowych, a rząd — jak się zdaje — zamierza i dalej spłacać ten dług z zaoszczędzonych zapasów kasowych.

Sprawozdanie p. Szczepanowskiego dotyka także kwestyi bilansu handlowego i bilansu płatniczego monarchii. Austro-Węgry według obliczeń prof. Saxa mają rokrocznie płacić zagranicy 140 do 160 milionów. Nadwyżka wywozu nad dowóz spadła w roku 1895 na 15 milionów. A zatem zadłużenie za granicą wzrosło w tym roku, tj. sprzedać zapewne musiano za 125 do 145 milionów różnych walorów austryackich, by dotrzymać zobowiązań względem zagranicznych wierzycieli. Mimo to p. Szczepanowski z tego faktu wcale nie wyciąga wniosków ujemnych na przyszłość. Produkta rolnicze podniosły się w cenie, konsumcya wzrasta, a jest to dowodem rosnącej także zamożności; węgierski wywóz mąki i zboża podniósł się w ciągu ostatnich lat dziesięciu ze 128 milionów na 151 milionów, a mimo to ogólny wywóz tych produktów z całej monarchii za granicę spadł, co jest tylko dowodem większej konsumcyi w Austryi. Austrya bardzo szybko przetwarza się na państwo przemysłowe, sprowadza wiele maszyn i surowców potrzebnych dla fabryk, i dlatego bilans handlowy na razie wobec bardzo zwiększonego dowozu przedstawia się nie tak pomyślnie. Na poparcie tych twierdzeń

---

58)

PASIERBY

Powieść na tle współczesnem

przez

Anatola Krzyżanowskiego.

(Ciąg dalszy).

XXII.

Za upokorzenie, za gorycz i zgryzotę spotkała Szczęsną na Hożej nagroda.

U progu czekał na nią Zygmunt, pod nieobecność jej przybyły.

Wzruszona, do głębi wstrząśnięta, rzuciła mu się w ramiona. On zaś, tuląc z miłością i utęsknieniem postać tę ukochaną do piersi, badał równocześnie trwożnem okiem zmiany, zaszłe w prześlicznych, lecz pobladłych i zeszczupłałych jej rysach. Znać było, iż nie zwodzi go rumieniec radości, wykwitły na jej licach, nie łudzi gorączka, paląca się w źrenic szafirze.

Snać przez czas czekania na nią zauważył zmiany zaszłe w domu, a brak cenniejszych sprzętów dopowiedział mu resztę. Może zresztą Władek, wyciągnięty na słówka przez przyszłego szwagra, mniej się dyskretnym okazał.

— Szczęsno, gołąbko moja biała, i tyś miała serce nie napisać mi, co się tu dzieje?

— Tak długo nie przyjeżdżałeś, ukochany.

Teraz na niego przyszła kolej goryczy.

— Bo nie mogłem. Nie mogłem... Czy ty rozumiesz, czem twarda konieczność ta była dla mnie?

I tuląc ręce jej do ust, mówił miłośnie:

— Szczęsno, każdy dzień, spędzony bez ciebie, był mi ciemnicą, był straconą chwilą życia. Gdybyś ty wiedziała, ile walk przeszedłem, ile nadziei przez czas ten pogrzebałem, tobyś się nie dziwiła, że jak rozbitek do jedynego przewodniego dla mnie światła, do ciebie wyciągam ręce. Obojgu nam potrzeba spokoju i ukojenia; przyjeżdżam więc po skarb mój, by cię tym razem zabrać stanowczo.

Nie przeczyła, pojąc się samym dźwiękiem wyrazów, które po przejściach ostatnich błogą harmonią jej się zdawały.

— Przywożę ci złe wieści, księżniczko moja — mówił głosem stłumionym — złe o tyle, żem ich nie chciał pierwszy matce twej zwiastować.

Szczęsna, w której dźwięk ten sam wyrobił już chorobliwą nadczułość, wyprostowała się, zwracając ku niemu trwożne spojrzenie.

Rozmarzenie jej pierzchnęło odrazu. Koniecki zaś mógł teraz dopiero sprawdzić w całej pełni smutne ślady, jakie w bledziutkich jej rysach wyryła troska ostatnich tygodni.

— Czy znów jaki cios nowy? — zapytała.

— Prawie, ukochana moja. Oto wierzyciele położyli areszt na całej waszej polisie.

— Jakto, i nie dostaniemy nic?

— Prawdopodobnie, Szczęsno.

Przeraził się zmiany, jaka zaszła w jej rysach.

— To jest zresztą niepewne; rzecz do wyprocesowania. Nie wiemy, widzisz, jak się będzie na to zapatrywał zarząd Towarzystwa, co mówią jego statuty. W każdym razie sprawa się przeciągnie, skutek jej zaś nader jest wątpliwy.

— A ty, a twoje pieniądze, Zygmuncie?

— Zrezygnowałem z nich zupełnie.

Szczęsna podniosła rękę do czoła, jak gdyby ogrom nieszczęścia tego myśli jej mieszał.

— Zrujnowany! Zrujnowany doszczętnie przez nas!... Przez mego własnego ojca... — szeptała z bólem, obłędu sięgającym.

— Tak; ubogi zupełnie, lecz szczęśliwy, bo ubóstwo to ty mi słodzić przyrzekłaś. Przyjechałem po obietnicę twą, Szczęsno. Przybyłem po skarb mój i szczęście moje.

— Ubogi, zrujnowany przez nas, chcesz mię wziąć jednak?

— Chcę na lata pracy i mozołu szczęścia promyk sobie zdobyć.

Pochyliła się ruchem nagłym, nieobliczonym i ustami gorącemi do ręki jego przylgnęła.

— Szczęsno! — zawołał, dłoń cofając.

— To moja odpowiedź i moja podzięka. To przeproszenie, Zygmuncie... za mego ojca.

Łzy, jak grad, po bladych jej toczyły się licach.

Wyciągnął ramiona, by ją na piersi swej utulić, lecz ona ruch ten dłonią powstrzymała.

— Sądzę — wyszeptała — że czara wypełniła się.

— Ja ci ją osłodzę, gołąbko moja.

— Nie, Zygmuncie. Związek nasz dziś byłby okrucieństwem.

— Co to znaczy, na Boga? Odpychasz mię?

— Nie, bo wtedy siebiebym zabiła; ale musimy czekać lepszej przyszłości. Obecnie, gdy pomoc oczekiwana zawodzi, nie należę do siebie. Nie mogę przecież rzucić mojej chorej matki i rodzeństwa na pastwę nędzy, o własnem tylko myśląc szczęściu.

— Ależ ja tu jestem — zaprzeczył żywo. — Już ci się przyznam, że objąłem oddawna miejsce administratora w Koniecpolu, że wyporządziłem domek i dla rodziny twojej znajdę w nim pomieszczenie.

Wielkie oczy Szczęsnej bezgranicznym błysnęły bólem.

— Zygmuncie, więc nie dość, żeśmy ci zabrali wszystko? Sądzisz znać, iż nieszczęście zabiło we mnie poczucie godności i ambicyi, że wyrwało mi z serca miłość dla ciebie? Myślisz więc, że ja, uboga, mogłabym ci narzucić osób tyle po to, by ciężar ten zwichnął ci karyerę i życie, bym wraz z nim stała się kulą u twojej nogi, przekleństwem istnienia?

— Szczęsno!

— Przenigdy!

Rozszerzone jej źrenice pałały, z wyprostowanej postaci biła siła i potęga niezłomnego postanowienia.

— A więc chodź do mnie sama.

— A oni? Mamże ja, jedyna dorosła i silna w tej rodzinie, rzucić ich obojętnie na pastwę głodu?

— Czy nie ma więc drogi wyjścia?

— Jest. Czas i cierpliwość. Może Bóg ulituje się nad nami.

— Powiedz lepiej: śmierć lub rozłąka! — rzucił porywczo, lecz widząc przepaść bólu w ciemnych jej oczach, jął przepraszać:

— Przebacz Szczęsno, ale ty mnie chyba nie kochasz, skoro możesz na takie narażać mię męczarnie.

— Zygmuncie, gdybyś mógł do serca mego zajrzeć, ujrzałbyś tam tylko miłość do siebie i ból śmiertelny, upokorzenie i lęk o przyszłość. Ach Boże! — dodała załamując dłonie — czemu mnie nie nauczono być czemkolwiek, czemu do pracy na chleb nie wdrażano? Czy dlatego, by życie ciężyło mi dziś jak kajdany, bym w rozterce z sercem własnem i całą istotą podwójne cierpiała katusze?

— Uwolń się od nich, Szczęsno, składając brzemię trosk swych na moje ramiona.

— Mogę rodzinie mej własne oddać życie, lecz nie zezwolę nigdy, byś ty w ofierze tej brał udział.

— Co zrobisz jednak sama?

— Będę pracować, zapobiegać i o byt dla nich walczyć.

— Ty Szczęsno? Ty kwiat cieplarniany, istota nie znająca zimnego podmuchu rzeczywistości?

— Tem gorzej dla mnie.

— Ależ na Boga, czy wiesz na co się narażasz? Na jakie przykrości, upokorzenia, obelgi może? Szczęsno, ludzie w wielkim mieście, tam, gdzie o byt, o dach idzie, to szakale. Twoja młodość, twoja piękność, wszystko to potępi cię. Poetyczna idealistka, której nie dano żadnej broni do walki o chleba kawałek, musi w walce tej zdeptaną zostać!

Uśmiechnęła się boleśnie, bo zdanie to nieobcem jej było.

— Ukochana, przyrzeknij mi, że myśli tej nie będziesz w czyn wprowadzać.

Podniosła na niego oczy, w których się znów morze bólu odbiło.

— Muszę. Nie mam wyboru. Nie praca mnie zresztą przeraża, lecz męka moralna, lecz niepewność jutra i rozstanie z tobą Zygmuncie.

— Więc odtrącasz mnie stanowczo?

— Nie odtrącam, Zygmuncie, ale błagam o cierpliwość, o przebaczenie... Wszak młodzi jesteśmy, czekać zatem możemy. Zresztą lepiej może, byś zapomniał o mnie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

podaje referent, że same przędzalnie sprowadziły surowców o milion centnarów więcej z zagranicy w 1895 niż w roku 1886, co jest bezprzykładnym dowodem niezmiernego wzrostu robót w tych fabrykach austryackich. Fabrykacya surowego żelaza wzrosła w tych dziesięciu latach o 4 miliony centnarów, fabryki maszyn nie mogą podołać zamówieniom. Spodziewać się tedy można bardzo szybkiego wzrostu wywozu fabrykatów, a przedewszystkiem zmniejszenia dowozu wskutek pokrycia potrzeb wyrobami własnymi. Już w bieżącym roku wzrósł wywóz fabrykatów w pierwszych dziewięciu miesiącach o 34 miliony zł.

Wywody te z pewnością wiele mieszczą w sobie prawdy; niestety jednak upadek eksportu produktów rolniczych tak był nagły, że trudno go przypisać wzrostowi konsumcyi krajowej. W każdym razie faktem jest, że w ostatnich kilku latach rolnictwo opłacało koszta rozwoju fabrykacyi, a wpływy dobroczynne tego rozwoju pokazać się dopiero mogą za jakich lat dziesięć (bo nikt nie uwierzy w improwizacyę przędzalni, fabryk maszyn, szkła, chemikalii i t. d.). Jeśli eksport fabrykatów był tego roku większym, to nie wolno zapominać o tem, że złożyło się na to kilka przypadków, które nie powtarzają się w każdej kampanii (wielkie budowle kolejowe w Rosyi, skutki wojny Chińsko-Japońskiej, która pociągnęła za sobą większe zapotrzebowanie żelaza, broni, sprzętów zarówno podczas wojny, jak i po jej skończeniu).

Sam referent wskazuje zresztą na nadzwyczajny wzrost ekonomiczny Węgier, które w r. 1886 sprowadziły z Austryi towarów za 357.500.000 zł. a z zagranicy za 58,700.000 zł., zaś w 1895 z Austryi za 442,500 000 zł. t. j. o 24 prot. więcej a z zagranicy za 102,200.000 zł., t. j. o 76 prot. więcej. Węgry starają się wszelkiemi siłami uwolnić od targu austryackiego. Dokąd będzie fabrykant austryacki wywoził swe wyroby, jeśli i węgierskiego konsumenta braknie, a nawet z dawnego konsumenta urośnie dlań konkurent na targu światowym? Ciężkich potrzeba będzie walk — i nie wolno z góry zbyt wiele liczyć na bilans handlowy z łaski fabrykantów. Na taką przemianę głównych podstaw produkcyi Austro-Węgier potrzeba lat dziesiątek. Pan Szczepanowski pomaga sobie, osobno obliczając bilans handlowy Austryi a osobno Węgier. W rzeczy samej Austrya przecież wywozi bardzo wiele fabrykatów do Węgier; otóż bilans jej, jeśli ją traktuje statystyk bez względu na Węgry, przedstawia się o wiele lepiej. P. Szczepanowski dochodzi na mocy cyfr statystyki węgierskiego importu z Austryi i eksportu zagranicznego Austryi do wniosku, że Austrya miała w latach 1886—90 208,300.000 zł. rocznej nadwyżki eksportu nad import, zaś w latach 1891—95 100,400 000 zł. (Węgry zaś w odnośnych okresach 2,600.000 i 4 miliony). Jeśli więc mówi się o rosnącem zadłużeniu zagranicznem monarchii, to rozumieć przez nie należy chyba zadłużenie Węgier. Austrya więcej wywozi, niż sprowadza i to w takiej mierze, że nietylko długi swe spłacać jest w stanie, ale nawet powoli ściągać może papiery swe znajdujące się za granicą. P. Szczepanowski, dowodzi dalej, że Austrya na oprocentowanie swych długów zagranicznych potrzebuje tylko 50 milionów rocznie, Węgry zaś 100 milionów, że nadto Austrya posiada wiele papierów węgierskich i dochody z nich pobiera. Obliczenia te spotkały się z gorzkiemi wyrzutami tutejszego *N. W. Tagblattu.* Pismo to niefachowemi wywodami osłabić usiłowało twierdzenia p. Szczepanowskiego, ale z politycznego punktu widzenia osądziło ich wypowiedzenie w chwili, kiedy Węgry prowadzą kampanię przeciw podwyższeniu kwoty wspólnych wydatków i kiedy każde przedstawienie słabości finansowej Węgier popierać tylko może ich opozycyę przeciw kwocie wyższej niż 30 prot.

P. Szczepanowski na zarzuty te odpowiedział, że gospodarka państwowa na Węgrzech jest świetną i że fakt zadłużenia zagranicznego mało tylko ma związku z kwestyą kwoty, że zresztą fakt ten w statystycznych wykazach każdemu dostępnych jest stwierdzonym też dla każdego.

Dowody p. Szczepanowskiego są jednak bardzo chwiejne i nie wytrzymują krytyki. Z wykazów ministerstwa finansów z r. 1893 oblicza on, że 810 milionów długów węgierskich płatnych złotem znajduje się w Austryi i zagranicą, że dalej 600 milionów renty koronowej węgierskiej tak samo znajduje się za granicą Węgier, że z tych dwóch pożyczek płacą Węgry rocznie 63 miliony zł. za swemi granicami, wreszcie, że na ogólny dług państwowy płacą rocznie 30 milionów, a towarzystwu kolei państwowych w Austryi rocznie 10 milionów. Otóż nie uwzględniono tu, ile z tych papierów znajduje się w Austryi, a co ważniejsza, nie uwzględniono, ile akcyi tow. kolei państwowych jest w Węgrzech i ile rent i losów długu państwowego. Póki tych obliczeń nie ma, twierdzenie p. Szczepanowskiego jest hipotezą. W statystyce zaś hipotez nie ma!

List otwarty

posła Stanisława Chłapowskiego.

Baron Stanisław Chłapowski poseł do Sejmu pruskiego ogłosił drukiem następujące pismo:

„Do mych niemieckich kolegów i przyjaciół!

Od dwudziestu peryodów prawodawczych mam zaszczyt być członkiem Sejmu prowincyonalnego. Moi panowie koledzy nie odmówią mi świadectwa, że uczciwie pracowałem w interesie zgody obydwóch narodowości. Z tego samego zamiaru powstały pod wieczór mego życia te uwagi. Co do tego, że wszystkiem w świecie rządzi wola Boża, lub dopuszczenie Boże, pomiędzy chrześcijanami sprzeczności być nie może. Ja i moi polscy ziomkowie znamy przykazania Boskie: „być posłusznymi przełożonej przez Boga zwierzchności, która ma władzę nad nami"; tak więc stoimy na gruncie pruskiego poddaństwa i spełniamy sumiennie obowiązki jako poddani pruscy. Nasza religia, narodowość, język są nam dane od Boga i jako nasze najdroższe dobra, zabezpieczone przez Jego przykazania. Nasi niemieccy współobywatele nie mogą nam tego poczytać za złe, ponieważ dla nich te dobra są równie święte. Dopóki wszyscy te zasady uznajemy, panuje spokój, możemy wspólnie pracować na rzecz naszej dzielnicy, a więc także państwa. Że przy tem trzeba sobie wzajemnie robić ustępstwa, rozumie się samo przez się.

Wiadomo, że przed dwoma laty wielu Niemców z naszej dzielnicy udało się do Friedrichsruh, aby uczcić ks. Bismarka. Gdyby było chodziło o to, aby złożyć hołd mężowi, który w interesie Prus i Niemiec dokonał wielkich rzeczy, natenczas niktby nie był mógł nic przeciwko temu nadmienić, ponieważ atoli ta podróż podjętą została za wiedzą księcia, i, co było wiadomem najmniejszej cząstce tych, którzy w podróży brali udział, prowokowaną była przez jego zwolenników w czasie, kiedy wszelkiemi siłami starał się obalić hr. Capriviego, przeto cała ta podróż, jak się zdaje, wymierzoną była przeciwko rządowi Jego Król. Mości. Mianowicie po ostatnich rewelacyach ks. Bismarka nikt o tem wątpić nie może, że wszędzie i zawsze pragnie się zemścić za swoją dymisyę, i że wszędzie usiłuje przysparzać rządowi trudności. Ponieważ Cesarz przyrzekł wszystkich poddanych objąć łaskawie równą miłością, dlatego poradził książę Bismark tym, którzy go odwiedzili, aby przez utworzenie stowarzyszenia przeciwko Polakom, pod pozorem wzmocnienia zagrożonej wrzekomo niemieckości, rządowi i na tem polu stworzyli trudności. Wielu, nawet większa część uczestników owej podróży sądziła, że to będzie takie samo stowarzyszenie, jak polskie Towarzystwo Pomocy Naukowej dla uczącej się młodzieży, znane Towarzystwo Imienia K. Marcinkowskiego, humanitarne, cywilizacyjne stowarzyszenie, które powstało pod auspicyami i z współudziałem naczelnego prezesa Flottwella; w takim razie żaden klub nie byłby mógł ani słówkiem przeciwko temu zaprotestować. Stało się jednak inaczej, a w Stowarzyszeniu pod firmą trzech liter (HKT.) i pod jego presyą powstało szczucie i denuncyacya polskiego żywiołu, zwrócona także przeciwko takim królewskim urzędnikom, którzy się nie pozwolili użyć jako narzędzie, rodzaj rządu w rządzie, który wskazówki otrzymywał z Friedrichsruhe, swoich ajentów utrzymywał wszędzie, mianowicie także w Opalenicy.

Wypadek tamtejszy, wywołany przez nieszczęśliwego, o którym wiedziano, że po użyciu gorących napojów skłonny jest do burd (wskutek czego musiał też wystąpić z armii), niesłychana prowokacya spokojnych ludzi w chwili, kiedy ci pragnęli okazać miłość i cześć swemu Arcypasterzowi, jest płodem usposobienia, które wywołał Związek. Przypominam telegram Związku z Opalenicy do ks. Bismarka. Ze strony osób, które w swej prasie rozprawiały o zagładzie polskiej ludności, przepowiadały zaprowadzenie stanu oblężenia, a przez to żądały od Prus takiej polityki, jakiej Turcya trzymała się wobec Armeńczyków, można się obawiać, że choćby miały prowincyę zrujnować pod względem ekonomicznym, choćby ją miały popchnąć w ramiona przewrotu, że w swem krótkowidztwie uważać będą czyn Herostrata za dzieło patryotyzmu i przez Boga dozwolone. Że katolicka ludność prowincyi, tak niemiecka jak polska wiernie trzyma się swej religii, że czci swoje władze kościelne, to przecież dla każdego, jasno na rzeczy patrzącego, jest rękojmią także politycznego i socyalnego, ładu. Te owacye odbywały się dotychczas wszędzie bez przeszkód i w największym porządku, zupełnie tak samo, jak w Niemczech, dla wszystkich biskupów, dla arcybiskupów hr. Ledóchowskiego, ks. Dindera, ks. Stablewskiego, jak i dla sufraganów ks. Likowskiego i Andrzejewicza. Przy świeckich okazyach i jubileuszach dzieje się i działo to samo. Potrzeba istotnie ślepoty albo uprzedzenia, żeby w tem chcieć się dopatrywać jakiejś specyalnie polskiej demonstracyi.

Lud lubi wszędzie jaskrawe barwy, szarych lub żałobnych barw nie chce używać przy uroczystych sposobnościach; jemu się zdaje, że przez jak najjaskrawsze dekoracye uczci najwspanialej te osoby, którym pragnie hołd złożyć. Chorągiew i kokarda w państwie i wojsku polskiem były białe, jak burbońskie, o czem w każdym zbiorze mundurów n. p. w berlińskiej zbrojowni przekonać się można, a z takiemi nikt jeszcze w Księstwie nie wystąpił. Kiedy zaczęło Towarzystwo, tj. jego kierownicy swoje działanie, niepokojące wschodnie dzielnice? Właśnie w chwili, kiedy po ustąpieniu ks. Bismarka i po wielkodusznych oświadczeniach dwóch monarchów Polacy znaleźli się w możności głosowania za kilkoma projektami rządu. Tego głosowania nie może prasa stowarzyszenia 3 liter przebaczyć deputowanym polskiej narodowości i ciągle powraca do tego przedmiotu.

Trudno mi wiedzieć, jakie były zapatrywania ogółu ministerstwa na dążności związku, ale to mi wiadomo, że minister Koeller uważał założenie związku jako skierowane przeciwko rządowi nowego kursu i zapewnił jednego czy kilku posłów narodowości polskiej, że przy etacie swego wydziału potępi boykot tak, jak go zainscenizował związek. Dlaczego dostojny ten pan tego nietylko nie uczynił, lecz postąpił wręcz przeciwnie, to chwilowo uchyla się od dyskusyi.

Jakże mogą władze prowincyonalne z takim rządem pobocznym, uczepionym ich połów, rządzić błogo nad dzielnicą? To pytanie przecież powinnoby sobie postawić ministerstwo królewskie. Nie tracę nadziei, że każdy, kto szczerze pragnie dobra naszej rodzinnej dzielnicy, a co do tego jestem przekonany o moich niemieckich kolegach i przyjaciołach, ten dzieli moje zapatrywanie na niebezpieczeństwa tego bezustannego, wzajemnego rozgoryczenia.

Dosyć już narzucał związek zarzewia na wschodnie kresy monarchii przez swoją prasę. Że takie podszczuwanie sprzeciwia się wprost duchowi chrześcijaństwa, o tem pewnie nikt nie wątpi, jest ono atoli także po prostu wrogiem państwu, ponieważ obywateli państwa, którzy mają wspólne zadanie pokojowe, podszczuwa nawzajem, paraliżuje przez to siły państwowe i Bóg wie, czy z tej nieszczęsnej walki nie cieszy się ktoś trzeci.

Uważam obecną chwilę za bardzo ważną i lękam się, że jeżeli naszym współobywatelom niemieckiej narodowości nie powiedzie się złamać wpływu kierowników tego związku a działania związku pod kierownictwem miłujących pokój ludzi ograniczyć na zadanie humanitarne, natenczas grozi dzielnicy smutna przyszłość, a pokój, do którego dążyliśmy wspólnie, co nam się też szczęśliwie udawało aż do chwili powstania związku, nie będzie mógł zostać przywrócony, od czego niech Bóg zachowa!

Poznań, w listopadzie.

Baron Stanisław Chłapowski,
członek sejmu pruskiego, wydziału prow. i parlamentu.

Z salonu sztuki.

II.

Ogromnie chwyta za oczy obraz Thielego p. t. „Procesya w Sycylii". Na pierwszy rzut oka widać, że obraz ten jest właściwie eksperymentem kolorystycznym. Na tle wieczornego pejzażu widać tłum ludzi. W tym tłumie wyróżnia się szereg biało odzianych postaci, niosących na swych barkach ołtarz przystrojony kwiatami, oblany światłem świec, płonących dokoła ołtarza. Ta masa świateł na ołtarzu i tuż koło niego, oblewa go taką powodzią czerwieni, że sam ołtarz zdaje się płonąć. Od miejsca, gdzie to światło najbardziej się ogniskuje, im dalej od tego źródła, tem więcej blednie to światło, ustępując miejsca coraz więcej światłu dnia. To ustępywanie jednego światła przed drugiem, ta walka najwyraźniej występuje na białem tle sukien ludzi, którzy niosą ołtarz. Im dalej od ołtarza w szeregu tych białych postaci, tem mniej na nich żółtego koloru a tem więcej jasnego fioletu, którego źródło tkwi w zachodzie słońca, po lewej stronie obrazu. Oba te tony, konstrastujące ze sobą jako kolor zimny i kolor gorący, schodzą się z sobą na jakiejś niewidzialnej granicy. Nie widać w obrazie, gdzie kończy się panowanie jednego a zaczyna panowanie drugiego; obydwa przechodzą w siebie i przesycają się sobą. Reszta obrazu, to jest ludzie, kawałek pejzażu, figura Chrystusa na ołtarzu itd., to wszystko jest tylko tłem, na którem ma się uprzytomnić ta walka kolorów.

Chcąc określić wrażenie, jakie sprawia obraz, przyznać się musi, że ta ogromna czerwona plama na środku obrazu sprawia wrażenie dużego gorąca. Wrażenie to jest tak silnem, że w odniesieniu do usiłowania artysty, wyklucza zupełnie przypadkowość swojego powstania. Mniejsza o to, czy Thiele poszukał sobie tła do gotowego w umyśle momentu walki dwóch świateł, czy też tło samo, widziane przezeń w naturze, było dla niego impulsem do uchwycenia tego kolorystycznego efektu. Dość na tem, że artyście udało się wywołać w widzu wrażenie orgii kolorów, która sama w sobie ma jakąś poetyczną grozę. Same kolory walczące i pieszczące się z sobą, są działaczami w obrazie i dają duszę tym postaciom i przedmiotom, żyjącym z nich tylko i dla nich. Dla tego przebaczyć i pominąć można to, że widzimy więcej to światło w jego działaniu na przedmioty a nie w sobie samem. Swiece n. p. i latarnie rzucają odblask dokoła, ale same w sobie nie świecą, mają kolor, ale nie blask. Pominąć to można, nawet pomimo, że błyszczenie ich należało w pewnej części do usiłowania artysty. Wynagradza to zupełnie czysto malarski zamiar stworzenia żywej samej w sobie i kipiącej tem życiem burzliwej melodyi kolorów. Obraz ma w sobie jakąś zuchwałość intencyi, świadczącą, że artysta ma dość odwagi i świadomości sił swoich, aby się porwać i na najryzykowniejszy eksperyment, dość temperamentu malarskiego, aby szukać sobie wykonawczych trudności, rzucać się na nie i je zwyciężać.

W tym samym jeszcze głównym pokoju znajduje się i obraz p. Batowskiego pt. „Umizgi". Jest to dość duży obraz rodzajowy „jakich wiele" i choć nie zaleca się niczem wybitnem, przecież warto o nim pomówić, bo jest on do pewnego stopnia typem. Treść jest dosyć banalna. Parobek, jadący pławić konie, umizga się do dziewki, stojącej w wodzie po uda. Pomysł ten pod względem psychologicznym nie nastręcza sposobności do refleksyi. Kompozycya obrazu, posiadająca dość wdzięczną linię główną od głowy dalszego chłopca do dziewczyny, popsuta jest pstrokacizną akcesoryów. Koloryt obrazu niejednolity, niezharmonizowany, a plastyka prawie żadna. Cały obraz mimo to chce całą swoją istotą, by go zauważono, choćby po to, by się zaraz potem zdradził ze swymi brakami. Pod tym też względem jest on typowym. Temu, by go zauważono, ma służyć słodkawo nudny temat, koloryt, składający się z nietłómaczących się plamek i kolorków, rzucających się w oczy swoją jaskrawością. Że zaś autorowi nie chodziło o nic więcej, świadczy o tem słaby rysunek (z wyjątkiem ruchu dziewczyny). Konie są liche, nie ma w nich bryłowatości. Woda jest raczej moręgowatą powierzchnią piasku, niż wodą a w całym obrazie nie ma ani za grosz przestrzeni. Sciana chaty za szablonowymi szczerbami muru, pokrytymi szablonowymi trawami, jest nią tylko dla tego, że pod strzechą przypuszcza się ścianę domu, który nią jest pokryty.

Jednem słowem obraz jest typem roboty na sprzedaż, w którym ożeniły się z sobą rutyna i chęć namalowania czegoś, coby się mogło podobać. Ta drugorzędność pobudek twórczości, ten brak zakochania się w temacie, bijące w oczy z macoszego i tylko na pierwszy efekt obliczonego traktowania przedmiotu, odbiły się na obrazie w sposób dostrzegalny każdemu subtelniejszemu oku. W tym obrazie też w sposób typowy występuje i to, że z drugorzędnych pobudek nawet za pomocą istotnego talentu nie może wyjść nic pierwszorzędnego, a rutyna choćby największa nie potrafi uzupełnić braków tkwiących już w jego istocie.

Do nowości należą jeszcze trzy morskie pejzaże Bratkowskiego. Zatytułowane wszystkie wspólnie widokami z Fiume, noszą te obrazki na sobie piętno usiłowania uchwycenia kolorytu morza w rozmaitych chwilach. Jeden z nich ma swoją przyjemną oryginalność w silnym głęboko niebieskim kolorze fal, ale brak tym falom miękkości i głębi. Są one jakieś suche i twarde, jakby wyrznięte ze stałej materyi, a nie powstałe za podmuchem wiatru na miękkiej podatnej powierzchni wody. Co jednak obrazki te zaleca, to bijąca z nich prawdziwość obserwacyi na miejscu.

Trzeci pokój naszego salonu sztuki zajmują cztery duże płótna stanowiące szkice do panoramy Berezyny. Widziałem dotychczas dwie panoramy: „Racławice" i „Golgotę", i w obu na pierwszy plan — pod względem prawdy, wykonania i stopnia wrażenia — wysuwał się zawsze pejzaż. Tak samo ma się rzecz i z Berezyną. Wydaje mi się na tej podstawie, że w produkcyach tego rodzaju okoliczność ta nie jest przypadkową lecz koniecznym wynikiem istoty panoram. Nie to, że w tych pracach zbiorowych do malowania pejzażu stawali zdolniejsi artyści, niż do malowania części figuralnej, jest powodem tego przejawu. Toby było przypadkowe. Istotą panoramy jest tło, na którem rozgrywa się akcya figur, to tło jest odwieczne, niezmienne i nosi na sobie piętno prawdy niezmiennej, stałej, takiej samej w chwili dopełnienia się faktu, jak w chwili jego reprodukcyi na płótnie. Część figuralna pozbawiona jest już z góry tego pierwiastka obserwacyi samego faktu i składa się do tego z niezliczonej ilości drobniutkich momentów, z których każdy z osobna może być zaobserwowany, ale w całość trzeba ją dopiero zszyć i złatać. Czego zaś brak wszystkim panoramom historycznym (a takie są one przeważnie) to tego, co w prawdziwych dziełach sztuki łączy wszystko i tym szwem się zrastać pozwala; ożywiającej poszczególne części, i prowadzącej je do wspólnego momentu idei. Tutaj ideę ma zastąpić równoczesność, a wrażenie faktu, przedstawionego w panoramie, wywołuje tylko jego historyczność. To też pomyśleć sobie łatwo, że gdyby nam dano tylko dobrze odtworzone miejsce, na którem się rozegrał jakiś fakt historyczny, i powiedziano tutaj spełniło się to i to, mógłby niejeden przy bujnej fantazyi odnieść z tego lepsze wrażenie, niż z panoramy.

Do tego przyczynia się i zbiorowość roboty. Dzieło sztuki musi mieć punkt na którym doszedłszy do najwyższego naprężenia załamuje się ku końcowi. Tymczasem, pejzaż zaobserwowany w naturze, ma pewną obojętność wzajemną swoich części, i nie stosuje się do akcyi która żądałaby i słusznie dla swego kulminacyjnego punktu skulminowania pejzażu. Dla tego w panoramach mówi się prawie zawsze o poszczególnych jej częściach. Pejzaż osobną gra rolę a osobną zupełnie część figuralna. Wśród tej ostatniej zaś rozróżnia się i mówi się także o poszczególnych jej momentach, tak jakby to wszystko było oderwane i osobne dla siebie. Prócz tego zstępuje się wobec panoram prawie zawsze z wyżyn sztuki i zniża się do sądzenia rzeczy zewnętrznych „To doskonałe", „ten koń tam dobry w ruchu" i inne podobnie połowniczne zachwyty, to zazwyczaj efekt panoram.

Na szkicach do panoramy Berezyny mamy pracę dwóch artystów, Fałata i Wojciecha Kossaka. Fałat malował pejzaż, Kossak „wszystkie figury" jak mówią podpisy. To też obie części są jakby same dla siebie jakby związane z sobą czysto mechanicznie, lokalnie.

Pejzaż na wszystkich czterech szkicach jest znakomity. Szerokie śniegowe równiny, woda Berezyny, błota, grupy drzew, dalekie smugi lasów, to wszystko w swojej jakości da się określić tylko superlatywami wrażenia. Każdy najdrobniejszy szczegół jest tam ustosunkowany do całości, i jak w naturze nie wychodzi nigdzie z przeznaczonej dla siebie roli. Swietne są osobliwie dalekie plany na horyzoncie. Całość zaś ma w sobie ogromnie wiele smutnej grozy zimna i wilgoci. Mimowoli przychodzą na myśl te tłumy ludzi, które przez kilka tygodni brnąć musiały w tych śniegach, w lichej odzieży i bez dachu nad głową. Przychodzi to na myśl nawet po za wrażeniem tłumów, namalowanych na tle tego pejzażu. To indywidualne, niezależne, własne działanie pejzażu.

Inna rzecz z figurami. Z chaotycznie gmatwających się plam różnokolorowych, przedstawiających zbity tłum walczących ze sobą Francuzów i Moskali, po drugiej stronie mostów na Berezynie, występują coraz wyraźniej pojedyncze kształty figur. Tłum na obydwu mostach kłębi się zbitą masą. Jeden z mostów załamał się we środku i lecą z niego do napół zamarzłej rzeki wozy, ludzie i zwierzęta. Nareszcie wylewają się te tłumy na bliższym brzegu i snują się ciemną linią przez wszystkie szkice na białem śniegowem tle pejzażu. Akcya ma pewien pęd do skulminowania się w osobie Napoleona, który stoi po prawej stronie trzeciego szkicu i przypatruje się paleniu sztandarów. Ale wysokość tego kulminacyjnego punktu nie stoi we właściwym stosunku do całego chaosu figur. Jeżeli chwila ma swój tragizm, jeżeli akcya kulminuje się w tem miejscu rzeczywiście, to źródło tego leży więcej w duszy widza napełnionej potęgą relacyi o gigantycznej figurze autora tego dramatu Napoleona I. Zasługa malarza jest tu małą, tem mniejszą, że chwila sama w reprodukcyi nie jest należycie wydobytą i wygląda więcej jak jeden z epizodów, a nie jak źródło wszystkiego. Nie czuć w całej akcyi tej świadomej siebie intencyi artysty, którąby widza zmuszała zbiegać ze wszystkich szczegółów do najważniejszego momentu. Oko i umysł rozpraszają się owszem w odczuwaniu epizodów, które same dla siebie są w stanie wywołać chwilowo potężne nawet wrażenia. To samo też powiedzieć można o szczegółach wykonania. Osobliwie konie znużone, zdrożone aż do padnięcia, ciągnące wozy, lub niosące ludzi ostatnim wysiłkiem, są znakomite w ruchu.

Jednem słowem, nie widzi się całości, i nie odnosi wrażenia czegoś jednolitego, ale raczej doskonałej ilustracyi tła i epizodów. Przecież mimo to, jeżeli się wrażenie ze szkiców w wyobraźni powiększy aż do rozmiarów samej panoramy, czuje się, że to, co w duszy tkwi o tym momencie z relacyi, zostało w wielu szczegółach powiedziane jaśniej.

Stanisław Womela.

Z izby sądowej.

Lwów, 2 grudnia.

(*Z zazdrości o grunt*).

Wczoraj rozpoczęła się przed sądem przysięgłych rozprawa przeciw Wasylowi Zbudowskiemu ze Szczerca, oskarżonemu o zabójstwo Ołeksy Seńkowa.

Seńkow kupił sobie kawałeczek gruntu, który byłaby chętnie zakupiła rodzina sąsiadujących z nim Kiczułów, ale, że Seńkow uprzedził ich w tem, więc powstał na dnie serca pokrzywdzonej niby rodziny żal wielki.

Zwykle dzieje się tak, iż przy kieliszku i pląsach stare waśnie znikają, a potok serdecznych wynurzeń i zapewnień o niezmiennej przyjaźni bieży równolegle z prądem wlewanych do żołądka trunków. Ale bywa też inaczej, jak to np. zdarzyło się na poprawinach weselnych u Michała Ilki w Szczercu, gdzie ucztowały także obie zwaśnione rodziny Kiczułów i Seńków. Gdy już w głowie szumiało, a w oczach zrobiło się mroczno, wpadł nagle do karczmy krewki i młody zarobnik, Wasyl Zbudowski, krewny Kiczułów. Łączność rodzinna nie była mu frazesem, i jemu bowiem było markotno na sercu, gdy pomyślał, że Seńków przeszkodził Kiczułom zostać posiadaczami ziemi. Stanął więc za Seńkowem i ugodził go nagle flaszką w głowę. Krwią zbroczony Seńków padł na ziemię i niebawem umarł.

Zbudowski, którego broni adwokat dr. Horowitz, okazuje skruchę, w oczach jego widać raczej bezmyślność, niż namiętność zbrodniczą.

Trybunałowi przewodniczy radzca p. Oleński, oskarżenie wnosi zastępca prokuratora, p. Hybel, stronę prywatną zastępuje adw. dr. Lewicki.

Rozprawa potrwa 3 dni.

* *

Kraków, 30 listopada.

(*Wyrok apelacyjny.*)

Odbyła się tu przed sądem karnym apelacyjnym rozprawa w sprawie Izydora Michny przeciw ks. Władysławowi Jelonkowi, kapelanowi krajowej szkoły rolniczej w Czernichowie, o obrazę czci. W sierpniu 1895 roku, w przededniu powszechnych wyborów do Sejmu, odbywało się zebranie powiatowego komitetu przedwyborczego dla mniejszej własności, w sali Rady powiatowej krakowskiej. Na tem zebraniu omawiano odezwę przedwyborczego komitetu chłopskiego, dla powiatu krakowskiego, wydaną przez Izydora Michnę, jako przewodniczącego komitetu. Wszyscy mówcy, nie wyjmując nawet włościan, oświadczyli się zgodnie przeciw odezwie owej i jej autorowi Michnie, jako występującemu przeciw religii, Kościołowi i niektórym stanom. Wówczas to ks. Władysław Jelonek wyraził się do włościan na tem zebraniu obecnych: „Jak mogliście wybrać Izydora Michnę, przewodniczącym komitetu włościańskiego, który powiedział, żeby kościół i szkołę w Czernichowie zburzyć". Tymi słowy uczuł się dotknięty p. Michno i wytoczył ks. Jelonkowi proces o obrazę honoru. Trybunał uwolnił ks. Władysława Jelonka od wszelkiej winy, z powodu, że w wyrażeniu tem, oraz w okolicznościach, wśród których było użyte, nie dopatrzył się trybunał przedmiotowej istoty obrazy czci, oraz z powodu tego, iż ks. Władysław Jelonek dowód prawdy przeprowadził.

Michno, jak wiadomo, zmarł przed paru tygodniami.

KRONIKA.

Lwów 2 grudnia.

Nowe odznaki dla urzędników kolejowych. Ministerstwo kolejowe rozporządziło, iż z dniem 1 grudnia b. r. sekretarze I klasy, nadinżynierowie, nadrewidenci i nadoficyałowie kolejowi będą mieli jako odznaki służbowe złote kołnierze z jedną gwiazdką (dotąd mieli zwykły kołnierz i 3 gwiazdki), inspektorowie złoty kołnierz i 2 gwiazdki, starsi inspektorowie i zastępcy dyrektorów złoty kołnierz i trzy gwiazdki. Wszyscy zaś urzędnicy kolejowi otrzymają bluzy, tak, jak urzędnicy rządowi.

Zmiany własności. P. Stanisław Nowak z Nowej Posady olchowskiej nabył od hr. Michała Zyberk Platera dobra Bachlawa, Hoczew i Sredniawieś w powiecie liskim wraz z zamkiem za cenę 250 tysięcy zł. — Gmina Jawornik nabyła na własność za 40.000 zł. obszar dworski w Jaworniku, w powiecie sądowym bukowskim od Osiasza Schmelza i Hermana Reicha.

O obrazę czci zaskarżył dr. Jan Malec z Wadowic, przywódzca partyi ludowej tamtych stron — starostę wadowickiego, p. Karola Franza. Sprawa ma być rozstrzygniętą przed sądem powiatowym w Żywcu z polecenia wyższego sądu krajowego w Krakowie. Donoszą o tem dzienniki krakowskie.

Jeszcze o zawalonem sklepieniu Pełtwy. Chemik miejski dr. M. Dunin Wąsowicz, któremu obok p. Pawlewskiego poruczono zbadać materyał użyty do sklepienia, orzekł, na podstawie badań chemicznych, iż cała robota betonu była źle prowadzona.

Konkurs na posady inspektorów szkół ludowych dla okręgów: Czortków, Dobromil, Kossów i Pilzno rozpisuje Rada szkolna krajowa we Lwowie z terminem do 15 bm.

Poseł Lewakowski zwołał walne zgromadzenie wyborców, na którem mówić będzie o przymusowej asekuracyi od ognia. Zgromadzenie odbędzie się w ratuszu jutro, tj. we czwartek, o godzinie siódmej wieczorem.

Plac św. Jura zamieniony zostanie na skwer według planu opracowanego już przez ogrodnika p. Röhringa. Roboty zaczną się z wiosną. Doroczne jarmarki, które się na tym placu odbywały, otrzymają inne stanowisko.

Nową herbaciarnię dla ubogich, trzecią z rzędu, otworzono wczoraj we Lwowie przy ul. Kołłątaja l. 6, staraniem komitetu dobroczynnych pań lwowskich. Ks. kan. Świsterski poświęcił lokal, a p. prezydent Małachowski dziękując komitetowi za utworzenie tak potrzebnej miastu dobroczynnej instytucyi, życzył gorąco powodzenia nowej herbaciarni. Herbaciarnia powstała dzięki inicyatywie pani wiceprezydentowej Michalskiej i przy współudziale pań: Legieżyńskiej, Kosińskiej, Czernowej, Czermakowej, Nittmanowej, Köpplowej i Kossowskiej, jako członkiń komitetu. Piekarz lwowski p. Czyżyk daje dla herbaciarni 100 bułek tygodniowo darmo, resztę zaś po zniżonej cenie.

Pojedynek. Przed paru dniami w jednej z tutejszych kawiarń porucznik H. ubliżył panu M. Zaatakowany użył ostrych słów na scharakteryzowanie zachowania się oficera, a gdy ten znieważył swego przeciwnika czynnie, p. M. wyzwał go na pojedynek. Spotkanie odbyło się wczoraj, a w warunkach zdecydowano się walczyć do upadłego. Po trzykrotnej a bezskutecznej wymianie kul z oddalenia 30 kroków, pochwycono szable i w tym ataku dopiero p. M. otrzymał cięcie w rękę, a p. H. w głowę.

Na bardzo szczęśliwy pomysł przyszedł zarząd lwowskiego „Domu pracy". Oto urządził on w swym nowym gmachu kwatery dla panien sklepowych i szwaczek, które nieraz w istnych norach lokują się „kątem" na nocleg. Za 2 zł. miesięcznie mogą mieć te osoby w „Domu pracy" łóżko i lampę. Domem pracy opiekują się obecnie Siostry Rodziny Maryi.

Ciągnienie losów państwowych z r. 1864. Główna wygrana 150 000 padła na seryę 1143 nr. 66; 20.000 zł. wygrała serya 788 nr. 21; 10 000 wygrała serya 77 nr. 3; 5000 zł. wygrały serya 378 nr. 48 i serya 2050 nr. 83; 2000 zł. wygrały serya 2805 nr. 55 i serya 3650 nr. 32; 1000 zł. wygrały serya 788 nr. 61 serya 2805 nr. 85 i s. 3636 nr. 41.

Nadto wyciągnięto następujące serye: 77, 277, 294, 305, 378, 678 712, 744 750, 788, 1143, 1362, 1394 1471, 1532, 1719, 1734 1797, 1831, 1887, 2015, 2050, 2121, 2171, 2180 2237, 2247, 2352, 2353, 2375, 2525, 2602, 2805, 2888, 2932, 2945, 2982, 3137, 3269, 3346, 3494, 3588, 3636, 3650.

Prezydent republiki francuskiej, p. Feliks Faure, zapowiedział swą rewizytę na dworze petersburskim. Termin jeszcze nie oznaczony. W każdym razie wypadek to będzie donośny, bo nigdy jeszcze nie widziano głowy narodu francuskiego w gościnie u carów rosyjskich, mimo, że carowie niejednokrotnie bawili oficyalnie we Francyi.

Apel do Dyrekcyi poczt. Otrzymaliśmy od publiczności skargę, że w urzędzie pocztowym obok lwowskiego głównego dworca za mało jest urzędników, którzy mają przyjmować listy polecone i pakunki. Nie wątpimy, że dyrekcya poczt sprawę tę zbada i niedogodności zapobiegnie.

Stoliki dla ptaków. Zwracamy uwagę pana prezydenta miasta na tę okoliczność, że w tym roku nie urządzono ani jednego stolika na ziarno dla ptaków w ogrodzie pojezuickim, tak iż nietylko magistrat wcale nie daje ziarna na utrzymanie ptaków przez zimę, ale nawet osoby prywatne, któreby chciały jakieś okruszyny lub ziarno dawać ptactwu, nie mają gdzie tego posypać, wskutek czego ptactwo w ogromnej ilości ginie z głodu.

Oszustwo. Aspirant pocztowy Ł. z Drohobycza, przybył przed kilku tygodniami do Krakowa i uczęszczał do jednego z lokali publicznych, gdzie

pozawierał rozmaite znajomości; od jednego też ze znajomych wyłudził przeszło 1000 złr. Poszkodowany zwrócił się do adwokata po radę. Adwokat odniósł się pisemnie do ojca Ł., przedstawiając rzecz całą oraz jej możliwe następstwa. Młody Ł. przejął pismo adwokata do ojca i sam zatelegrafował, że sprawa będzie pomyślnie załatwioną i pieniądze zwrócone. Jakoż w krótkim czasie na ręce adwokata nadeszło sześć przekazów pocztowych ze Soli po 500 zł. Zaraz zaś potem przyjechał młody Ł., zapłacił wyłudzone pieniądze, a z resztą w towarzystwie śpiewaczki z Odeonu udał się w podróż po Europie. Niebawem wyszło na jaw, że Ł. sfałszował przekazy w Soli, prawdopodobnie chwilowo dorwawszy się podstępnie zastępstwa poczmistrza. Śledztwo w tej sprawie prowadzi starszy komisarz skarbowy p. Jorkasch, oraz dyrekcya policyi. Za zbiegiem zarządzono poszukiwania.

Z notatki reportera. Zajrzałem w niedzielę po południu do szkoły Mickiewicza. W jednej klasie szkolnej siedzi w ławkach około 40 terminatorów, których nauczyciel p. Domiszewski uczy śpiewać kolędy na uroczystość jasełkową. Chłopacy w wieku od lat 10 do 18-tu pilnie słuchają uwag instruktora, siedzą w ławkach grzecznie, a gdy prześpiewali na dwa głosy kolędę, dali świadectwo, że trudy instruktora nie są płonne, — chór to był pełen harmonii.

Przejęty żywem zadowoleniem udałem się do sali gimnastycznej. Maszeruje tu, wspina się po tyczkach, ćwiczy na kozłach i poręczach przeszło 60 terminatorów. Ściskam dłoń gospodarza sali, p. Zeńczaka i pytam:

— Jakżeż tam idzie?

— Doskonale, dzień dzisiejszy godzien zapisania złotemi głoskami w kronice naszego Towarzystwa.

— Chciałbym powinszować, lecz nie wiem czego.

— A, panie drogi — odpowiada p. Zeńczak — wyżebrałem dzisiaj dla moich malców trzy pary wcale dobrych jeszcze butów. Żeby pan widział, jaka to była uciecha.

I przyprowadza mi owych obdarzonych chłopaków, którzy błyszczącem z zadowolenia okiem spoglądają na swo obuwie. Wszyscy trzej mieli twarze wynędzniałe, ubranie leciuchne i poszarpane, ale z oczu biła im poczciwość. Jeden, nieco rezolutniejszy, popatrzył na mnie uważnie i rzekł do mnie:

— Pan Zeńczak niósł te buty pod paltotem.

— Czy mam wierzyć? — zapytałem, biorąc gospodarza na stronę.

— Ależ, panie, żebym tylko miał czem, to objuczyłbym się, ile tylko siły starczą, byle tym biedakom przyjść z pomocą. Głodne to, obdarte, że aż serce się kraje. My z naszym kochanym panem Józefem (tu przedstawił mi p. Józefa Górniaka) pełnimy wszelkie funkcye, byle tylko chłopców do Towarzystwa przywiązać. Jesteśmy więc nauczycielami, gospodarzami, biuralistami, woźnymi, kwestarzami — wogóle wszystkiem, czego tylko potrzeba. A jak pan widzi, chłopców dużo, biedy dużo, a nas nawet tutaj do nadzorowania w gimnastyce, za mało. Ot dzisiaj naprzykład musiałem nawet zostać kaznodzieją, bo czcigodny nasz O. Szydłowski musiał iść na nieszpory. Zmówiliśmy więc modlitwę, zaśpiewaliśmy ja wygłosiłem kazanie, teraz gimnastyka, a potem podwieczorek. Damy chłopcom chleb z powidłami; bardzo oni lubią powidła, a do roczynna pewna ręka ofiarowała dla chłopców 50 klg. tego specyału. Cieszy mnie ich szczera wdzięczność za wszystko, czego tu doznają, ale gnębi myśl, jak tu tysiącznym brakom odpowiedzieć. Nie posiadamy nic prócz tego, co nam kto przygodnie nadeśle, lub co u litościwych serc wykołatamy. A potrzeb coraz więcej. Dzisiaj wyłapałem kilku chłopców, którzy już po dwa i trzy lata są w terminie, a jeszcze nie zapisani do cechu.

— Dlaczego? — pytam zdziwiony.

— Rzecz prosta. Nie mają oni pieniędzy na opłacenie wpisowej taksy, terminują więc nieraz w nieskończoność, a majster ich nie wyzwala, bo nie zapisanego do cechu terminatora wyzwolić nie może.

W tej chwili kilku chłopców przypadło do swego przewodnika, wytaczając przed nim jakąś skargę. Usunąłem się na bok i patrzyłem jeszcze przez chwilę na te pląsy i skoki, wsłuchiwałem się w ten gwar rozbawionej młodzieży warsztatowej, która tu znajduje wytchnienie po całotygodniowej pracy, serce przyjacielskie i słowo nauki religijnej. Zwykła zgryźliwość ustąpiła mi na chwilę z czoła, i pomyślałem, że na świecie przecie nie jest źle, kiedy są jeszcze ludzie, którzy duszą i ciałem lgną do tej młodzieży i jak dziećmi własnemi, jak braćmi opiekują się.

Pożegnałem obu panów, odpowiedziałem na pozdrowienia malców i podążyłem ku domowi, rozmyślając po drodze o tem, co widziałem.

— Czyż mam apelować do Czytelników o pomoc dla Towarzystwa św. Stanisława Kostki? — myślę sobie.

— Nic łatwiejszego. Bibuła drukarska przyjmie wszystko.

— Ależ obarczamy codzień tych Czytelników rozmaitymi tej natury apelami.

— I w tem racya. A jednak popieramy każde szlachetne usiłowanie. W tym wypadku chodzi o robotników, o wczesne pokierowanie nimi, by się kształcili na ludzi moralnych, a społeczeństwu pożytecznych zawodowo.

Ośmielony tym wynikiem badań własnego sumienia, czy wolno mi zapukać do Waszych serc, łaskawi państwo, skreśliłem co tu widzicie i wstawiając się za tą, szczupłych na razie rozmiarów instytucyą opieki nad terminatorami, dodaję, że tak datki pieniężne, jak i odzież, bieliznę i obuwie — artykuły to bardzo pożądane — przyjmuje p. Józef Górniak, mieszkający przy ulicy Technickiej l. 2, który atoli gotów jest sam zgłosić się po odbiór tych efektów, wystarczy więc w danym razie podać mu adres szlachetnych ofiarodawców.

Śmierć przy fortepianie. Z Witebska donoszą: Inauguracyjny wieczorek muzyczny dnia 4 listopada, wydany przez kółko amatorów muzyki, został przerwany przez smutny wypadek. P. Tiufiajew, dyrektor filii banku włościańskiego, grając na fortepianie, nagle życie zakończył, jak powiadają lekarze, ze wzruszenia.

Małpa mordercą. W Budapeszcie zdarzył się okropny wypadek. Wdowa po oficerze, pani Klara Löcsey, mieszkająca samotnie w swojej willi, była ogromną lubowniczką zwierząt i utrzymywała u siebie małą menażeryę, złożoną z prześlicznych psów, kotów, gołębi, papug i innych ptaków. Z całej tej czeredy jednak najwięcej lubiała małpę, pawiana, który się wydawał nader pojętnym i bardzo do swej pani przywiązanym. Niedawno zachorowała pani Löcsey i nie mogła sama karmić swoich zwierząt, jak to zwykle czyniła. W zastępstwie jej dawała zwierzętom w kuchni pożywienie służąca, ale pawian był z tej zmiany bardzo niezadowolony i ryczał straszliwie. Wtedy chora dźwignęła się z łóżka i otwierając drzwi do kuchni uspokajała swego ulubieńca. Powtórzyło się to kilka razy, ale pawian objawiał coraz większą dzikość. Kiedy razu pewnego pani Löcsey znowu drzwi otwarła głaszcząc małpę, pawian rzucił się na nią, rozdrapał jej paznogciami skórę na twarzy i odrywał mięso kawał po kawale. Działo się to wszystko w obecności służącej, która odwrócona plecami, karmiła inne zwierzęta i sądziła, że małpa pieści się tylko jak zwykle ze swą panią. Dopiero po pewnej chwili przerażona pani Löcsey wydała ogromny jęk, na który zbiegli się wszyscy domownicy willi. Małpę zabito, ale pani Löcsey była tak okrutnie pokaleczoną, że w kilka godzin później umarła w stanie bezprzytomnym.

Koncert historyczny. Nadzwyczaj zajmujący koncert historyczny ma się odbyć w Warszawie. Dzięki staraniom i zabiegom p. Aleksandra Polińskiego, znanego krytyka i badacza dziejów „gędźby polskiej“, zebrał się obfity program, na który złożą się wcale dotąd nie znane utwory Bekwarka, lutnisty czasów Zygmuntowskich (1515 — 1576), Mikołaja z Krakowa (1541), Jana Sylwiusza Białeckiego (1684 — 1750), Wojciecha Wojtaszka, lutnisty Samuela Zborowskiego (1550), Marcina Lwowczyka (1540 — 1589), Jana Dzikiego (1561), Mikołaja Gomółki (1550—1609), Grzegorza Gorczyckiego (1640 do 1734), J. Aleksandra z Gorczyna (1660), Antoniego Milwida i Karola Kurpińskiego (wiek XVIII).

Nasze stulecie reprezentować będą: Chopin, Moniuszko, Zarzycki.

Pan Poliński wygrzebał istne perełki z pyłu zapomnienia, między innemi pieśni kilku nieznanych nawet z nazwiska kompozytorów polskich, jak n. p. „Pieśń o Piaście“ z XVI-go wieku, „Pieśń o Karolu Chodkiewiczu“, „Nagrobek Barbary Radziwiłłówny“ z r. 1558-go, piosenki ludowe i melodye zamierzchłych czasów, które zharmonizował i zinstrumentował.

Ostatnie nowości — z Marsa. Planeta Mars, który już o 7 z wieczora przyświecać nam zaczyna, jest przedmiotem pilnych obserwacyi astronomicznych. Do znanych szczegółów o powierzchni i kształcie tego naszego sąsiada, przybywają wciąż nowe. Niedawno Lowell z obserwatoryum, wzniesionego w Flagstaff (Arizona, Stany Zjednoczone Ameryki północnej) specyalnie dla badań Marsa, donosił, iż kanały jego Phison i Eufrat ukazują mu się podwójnie. Obecnie Flammarion ze swej spostrzegalni w Juvisy pod Paryżem oznajmia, że w dniu 10 z. m. ujrzał podwójnie morze Trivium Charontis, położone na Marsie przy 17° północnej szerokości i 193° długości, które nazwę taką otrzymało z powodu, iż wychodzi z niego sześć kanałów: Tartar, Laestrygon, Cebers, Styks, Hades i Ereb, dążąc w rozmaitych kierunkach wiatrowej róży, lecz tak, iż zdaje się, że w środkowym punkcie morza się krzyżują.

Pierwszy to raz całe morze na Marsie widziane jest podwójnie. Schiaparelli wyraził już hypotezę, że tak zwane kanały Marsa, mające kilkaset kilometrów szerokości, nie są właściwie naturalnemi, lecz sztucznie przekopanemi i nawodnionemi kanałami. Nawodnienie to sprzyjało rozwojowi roślinności, ciemną barwą w tych miejscach wyróżniającej się od innych okolic, mniej bujnie porośniętych. Ową to właśnie gęstą zieloność pomiędzy kanałami można poczytać z oddali za kanały podwójne. To, fantastyczne trochę, przypuszczenie nie objaśnia jednak, dlaczego i morze podwójnem się wydaje.

Wedle innego objaśnienia to podwójne ukazywanie się wód jest poprostu złudzeniem optycznem, wywołanem załamywaniem się światła.

W ostatnim zeszycie „Fortnightly Review“ znajdujemy także ciekawy artykuł o Marsie, pióra p. Franciszka Galton. Wyraża on śmielszą jeszcze od Schiapariellego hypotezę, a mianowicie: że Mars jest zamieszkały i że mieszkańcy jego dają nam sygnały świetlane. W istocie bowiem uwagę astronomów w bardzo jasne noce, gdy Mars nadawał się wybornie do obserwacyi, zwrócił dziwny blask, bijący z jego powierzchni, jak gdyby od świateł elektrycznych. Po bliższem przyjrzeniu, dostrzeżono trzy odrębne rodzaje tych odbłysków: jak gdyby punkty świetlane, strzały i poziome linie; drugie zjawisko trwało dwa razy dłużej od pierwszego, a trzecie dwa razy dłużej od drugiego; pomiędzy każdem następowała przerwa. Ułożenie tych znaków nasunęło astronomom przypuszczenie, iż to są liczby, używane przez mieszkańców Marsa i że podstawą ich arytmetyki jest nie, jak u nas, liczba 10, lecz 8. Światło bijące od Marsa, wedle hypotezy Galtona, świadczy zatem o pragnieniu tamtejszych mieszkańców porozumiewania się z nami, a nadto wskazuje nam ich system matematyczny. Hypoteza taka wydaje się co najmniej... śmiałą — zwłaszcza profanom.

Polityka w potrawach. Rojaliści francuscy, korzystając z każdej sposobności, aby urządzać manifestacye na korzyść restauracyi monarchii, obchodzili tak w Paryżu, jak i na prowincyi ucztami ślub księcia Orleanu i przy kieliszku zapowiadali mu niechybne wstąpienie na tron przodków swoich. Ale co najciekawsze, spis potraw, podanych na stół na rozmaitych ucztach, przybrał polityczny charakter. Smakosze francuscy utrzymują teraz, że na pierwszy rzut oka można poznać, czy zastawiono ucztę monarchicznie, czy republikańsko. Menu monarchiczne uczty paryskiej zawierało: Consommé princesse na cześć księżnej, bisques d'ecrevisses à la royale na cześć jej męża. Turbot sauce bearnaise był hołdem pamięci Henryka IV, filet de beuf à la Chantilly hołdem księciu d'Aumale, poularde à l'archiduc hołdem dla Austryi. Gâteau Philippe stanowił delikatną atencyą dla ks. Filipa.

Wśród tylu demonstracyj, najniewinniejszą i najprzyjemniejszą jest objawiać wiarę swoją polityczną, zajadając potrawę dynastyczną lub antidynastyczną, ale zastosowaną do przekonań biesiadujących.

Na obiadach bonapartystowskich nie brak pulardy à la Marengo, a anarchiści są znowu wierni sałacie z czerwonej kapusty.

Przedziurawione żagle. Ważne ulepszenie w żegludze uczynił genueński kapitan Vassalo, a polega ono na tem, że za pomocą przedziurawionych żagli uzyskuje się większą szybkość jazdy. Wygląda to na paradoks, a przecież tak jest. Żagle takie widział Vassalo w użyciu u chińskich i japońskich piratów, uwijających się po morzu Żółtem. Zdaniem kapitana Vassalo przed zwykłym, nieprzedziurawionym żaglem, tworzy się od tej strony, z której wiatr wieje, t. zw. martwa warstwa powietrza, która mocą swej elastyczności niszczy pewną część siły wiatru. Przez urządzenie odpowiednich otworów w żaglu wypuszcza się tę szkodliwą warstwę powietrza, tak, że wiatr może działać bezpośrednio na powierzchnię żagla. Zwykły czworokątny żagiel może posiadać dwa otwory szerokie na 20 do 30 centymetrów. Vassalo przedsiębrał dużo prób z żaglami swego wynalazku i oświadcza, że szybkość jazdy zwiększała się wskutek tych otworów przeciętnie o 45 mil morskich na dzień. W Marsylii i Genui znalazł już ten wynalazek zastosowanie na wielką skalę przy okrętach żaglowych, a zaczyna się nim teraz interesować już i północna Ameryka, w której kwitnie sport yachtowy. Każdy zamożniejszy Yankes posiada swój własny yacht żaglowy, a klubów yachtowych jest kilka, to też ulepszenia kapitana genueńskiego są tam omawiane gorąco nawet przez niefachowych.

Fonograf jako nauczyciel języków. Szwedzki profesor Dallender wpadł na oryginalny sposób ułatwiania swoim uczniom wymowy francuskiej. Chodziło mu szczególnie o dźwięki nosowe, których Szwedzi w ojczystym swym języku nie mają. Wyjechał tedy do Paryża, i kupiwszy sobie doskonały fonograf, odwiedzał znakomitych artystów paryskich teatrów i prosił ich o deklamowanie rozmaitych ustępów z klasycznych dramatów lub o odśpiewywanie bardziej znanych pieśni. Deklamacye te i śpiewy chwytał prof. Dallender skrzętnie w fonograf i uzbierał w ten sposób oryginalną antologię wzorów wymowy francuskiej. Że takie żywe a znakomite wzory potrafią uczącym się lepiej uprzystępnić właściwości wymowy obcego języka niż nauczyciel, tego już chyba dodawać nie potrzeba. To też fonograf znajdzie niewątpliwie kiedyś powszechne zastosowanie przy nauce języków.

Zmarli. We Lwowie Leszek hr. Dunin Borkowski, uczestnik powstania w roku 1831, poseł na sejm konstytucyjny w Kromieryżu, były poseł do Rady państwa i na Sejm krajowy, zmarł w 86 roku życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano —11 R., w poł. — 10 R. Bar. 768. Podnosi się. Pogoda.

Także kłopot.

— O czem tak myślisz?

— Hm... doprawdy mam kłopot nielada!

— Co takiego?

— Wyobraź sobie, wczoraj byłem u Rautowiczów na kolacyi. Dali wcale niezłego węgrzyna, wino poszło do głowy i... oświadczyłem się mojej sąsiadce, pannie Eulalii.

— Cóż stąd za kłopot?

— Ba! właśnie w tem sęk! Myślę, myślę i nie mogę sobie przypomnieć, co powiedziała: tak, czy nie?..

Kto wymyślił rower.

Ciekawość wielka — z przekąsem rzekła
Żona cyklisty, waląc w pianino —
Kto też wymyślił ten rower z piekła,
Który mych nudów jest dziś przyczyną?
Cyklista na to odrzekł wzburzony:
Owszem, odpowiem na twe pytanie:
To był podobno mąż takiej żony,
Która wciąż grała na fortepianie. (*Koło*)

Repertuar teatralny. Dziś we środę po raz pierwszy „Krew nie woda“, komedya w 6 odsłonach Zegoty Krzywdzica. We czwartek po raz drugi „Krew nie woda“. W Przemyślu „Nitouche“, operetka w 4 aktach Hervy'ego. W piątek po raz trzeci „Krew nie woda“. W Przemyślu „Niniche“, wodewil w 3 aktach Hennequina i Najaca. W sobotę po południu o godz. 3-ciej dla młodzieży „Pan Jowialski“, komedya w 4 aktach Al. hr. Fredry, wieczorem o pół do 8 mej po raz 8-my „Czarodziej z nad Nilu“, opera komiczna w 3 aktach Herberta. W Przemyślu odbędą się w bieżącym sezonie tylko dwa przedstawienia operetkowe.

Siedmiogrodzkie złote miny. W interesie rozwoju siedmiogrodzkich kopalń złota zrobiono w tych dniach krok ważny i stanowczy, gdyż pod nazwą „Fortuna, akcyjne Towarzystwo złotych min,“ powstało akcyjne Towarzystwo z kapitałem zakładowym miliona guldenów w celu zakupna najlepszych z tych min i wprowadzenia ich w ruch. Towarzystwo zakupiło kopalnię „Szent Endre“ w Buczum koło Abrudbanyi. Kopalnia ta zawiera rudy takie, że na beczkę dają 23 gr złota; także i wolne złoto się pojawia w ilości kilku kilogramów. Kopalnia ta wytrzymuje porównanie z transwaalskiemi. Wprawdzie sprawę min w Transwaalu uważa się często za oszukańczą, i istotnie też wiele z nich się jako oszustwo wykazały; ale zapomnieć niewolno, że te miny pokrywają największą część potrzebnego wogóle złota i obok kilku niewartych są i bardzo dobre kopalnie złota, które od wielu lat akcyonaryuszom 100 pct. dywidendy dają. Także w ostatnim roku miny te wydały dwa miliony uncyi złota, wartości 80 milionów. Obok założycieli, którzy tam setki milionów zarobili, zarobili i akcyonaryusze moc pieniędzy.

Na czele towarzystwa akcyjnego „Fortuna“ stoi jeden z najpoważniejszych i najbogatszych panów węgierskich. Książę Batthyany Strattmann nie dałby nazwiska instytucyi, któraby nie dawała rękojmii powodzenia. Na czele dyrekcyi stoją pp.: Hammond, były konsul jeneralny Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej, James Langermann, który pięć lat mieszkał w Transwaalu i dzisiaj jest jeszcze akcyonaryuszem kilku kopalń tamtejszych, hr. Mikołaj Berchtold, hr. Géza Festetich, burmistrz z Abrudbanya i b. poseł Bela Boer, najlepszy znawca miejscowych stosunków. Towarzystwo akcyjne ukonstytuowało się po zupełnem wpłaceniu kwoty zakładowej, akcye objęło konsorcyum, które za 500.000 zł. akcyi na targ wprowadziło i to bez ażia. — Można publiczności polecić tę instytucyę, bo wszystko tak urządzono, aby skutek był pewny — a nadto chodzi przecież o podwyższenie wydatności krajowych kopalń złota. Skarbu tych kopalń dotąd należycie nie uwzględniono. Propaguje się obce kopalnie złota, a nie myśli się wcale o tych, tak bliskich, a tak wydatnych — nie zaopatruje się ich w kapitał potrzebny — a ten przecież jedynie przywiedzie skarb ten do rozwoju i wydatnych korzyści.

Do dzisiejszego numeru dołącza się okólnik pierwszorzędnego i największego w Galicyi magazynu zabawek dziecinnych i towarów galanteryjnych firmy Kauczyński i Oberski we Lwowie.

Część ekonomiczna.

§ Targ zbożowy na Kleparzu.

Kraków 1 grudnia.

Słabsza tendencya na rynkach zagranicznych i większych targach krajowych, wpłynęła ujemnie na targ dzisiejszy na Kleparzu. Odbiorcy biorąc każdą zniżkę za zapowiedź dalszego spadku cen, — wstrzymywali się z kupnem, w skutek czego znów dostawcy, w obec obfitych dowozów, nawet przy niższych cenach już z trudnością mogli pozbyć się towaru.

Płacono: pszenicę białą 8·10 do 8·40, czerwoną 8·— do 8·40, żółtą 8·— do 8·40, żyto 6·35 do 7·10, jęczmień browarny 6.20 do 7·20, na paszę 5·50 do 5.80, owies 5·80 do 6·30, rzepak 12·— do 13.—, konicz czerwony 0.— do 0.—, biały —·— do —.—. Wszystko za 100 klgr.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ Z targu na bydło. Wiedeń 30 listopada. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 889, węgierskich 3142 i niemieckich 594, razem 4625 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 32, dobre ciężkie 33 do 34, osobliwe prima 35 do 36, wyjątkowo 37 zł., za buhaje i krowy 20 do 30 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 2 grudnia. (Z Izby posłów.) W dalszym ciągu obrad nad ustawą organizacyi uniwersytetów i oupaństwowieniu czesnego, przyjęła Izba paragrafy 1—11 z poprawkami. Uchwalono nadać profesorom lwowskiej szkoły weterynaryi 6-tą klasę rangi, a profesorom uniwersytetu wiedeńskiego dodatek w kwocie 400 zł. Nastąpiła debata nad §§. 12—14 dotyczącymi sprawy czesnego w uniwersytetach, przyczem rozwinęła się ożywiona dyskusya.

Przemawiał p. Piniński za zniesieniem czesnego i za podwyższeniem płacy nadzwyczajnych profesorów uniwersytetów do 1800 zł.

Minister Gautsch oświadczył, że ci profesorowie, którzy nie chcą zrzec się czesnego, przy przeniesieniu na emeryturę otrzymają pensye wedle niższej płacy profesorskiej. Mówca jest zdania, że upaństwowienie czesnego przy równoczesnem podwyższeniu płac profesorskich, leży w interesie 600 profesorów, podczas gdy zachowanie obecnego systemu, korzystnem jest dla nielicznej garstki profesorów. Mówca zgadza się z wnioskiem p. Pinińskiego.

Przemawiali jeszcze Treuinfels, Lorbeer, Lewicki i Marchet. P. Wiedesperg wniósł, by zamiast czesnego zaprowadzono „taksę za naukę“ (Unterrichts Taxe), przyczem prawo uwolnienia od tej taksy zastrzeżone powinno być profesorom. Do paragrafu tego zabrali jeszcze głos: Haberman, Hauck, Kramarz, Engl i Kaizl, który postawił wniosek o zupełne zniesienie czesnego. Na tem przerwano obrady nad ustawą uniwersytecką.

P. Bazzanella interpelował p. ministra kolei żelaznych, czy rząd poczynił jakie kroki u rządu włoskiego w celu porozumienia się co do połączenia austryackiej kolei Valsungana z siecią kolei włoskich.

Na zakończenie posiedzenia poświęcił prezydent Izby br. Chlumetzky kilka słów wspomnienia zmarłemu prałatowi Ruczce, przyczem członkowie Izby powstali z miejsc. Ruczka — rzekł prezydent — był jednym z najstarszych członków parlamentu austryackiego, a jednym z owej stopniałej już dziś do szczupłej garstki starej gwardyi z roku 1861. Z wyjątkiem Proscovetza nie ma już nikogo w Izbie z tych, którzy z nastaniem konstytucyi wybrani zostali do Izby posłów. Od owego czasu należał Ruczka z wyjątkiem kilku tylko sesyi stale do parlamentu. Surowy dla siebie, a łagodny wobec drugich, niewzruszony w kwestyi zasad i zapatrywań, które uważał za słuszne, był on równocześnie wyrozumiałym w ocenie zapatrywań swoich przeciwników. Z nadzwyczajną sumiennością i głębokiem uszanowaniem dla obowiązku łączył Ruczka te wszystkie rzadkie przymioty, które kazały w nim szanować prawdziwego kapłana. I w życiu politycznem okazał zmarły te same zalety i to nietylko w tej Izbie i w swoim kraju, ale i po za jego granicami. Ktokolwiek się z nim zetknął, odchodził zawsze z miłością i uwielbieniem dla niego. Uczuciom tym, które zachowamy dla tego niezwykłego męża i po za grób, dajemy wyraz przez powstanie z miejsc. Ta szczera boleść nad utratą kochanego kolegi, ten wyraz smutku całej Izby niechaj będzie wcielony do protokołu dzisiejszego posiedzenia.

Rzym 2 grudnia. (Posiedzenie izby posłów). Imbriani interpeluje rząd o politykę afrykańską, pochwala zawarcie pokoju i domaga się opuszczenia kolonii afrykańskiej. Prezydent ministrów di Rudini oświadcza, że rząd dopełnił ciążącego na nim obowiązku, pokój zawarł, więźniów uwolnił, honoru Włoch w niczem nie nadwerężył, więc sądzi, że usługę oddał ojczyźnie. Dodaje nadto, że rząd chętnie się zgodził na zrzeczenie się protektoratu nad negusem Menelikiem, dążył jednak do tego aby negus nie poddał się pod protektorat żadnego innego mocarstwa, i celu tego dopiął.

Rzym 2 grudnia. (Posiedzenie izby posłów). Prezydent ministrów di Rudini oświadcza, że Erytreę potrzeba będzie powoli zmieniać z kolonii wojskowej na cywilną kolonię handlową. Jest on także tego zapatrywania, że Włochy póty nie będą wzrastały w potęgę, póki będą uwikłane w przedsiębiorstwo kolonialne przewyższające środki państwa. Ponieważ dep. Franchetti domagał się, by parlament niezwłocznie wypowiedział swoje zdanie o sprawie afrykańskiej, oświadczył di Rudini, że robi z tej sprawy kwestyę zaufania do gabinetu i żąda, aby wszystkie wnioski w sprawie afrykańskiej odroczono do nieograniczonego czasu. Deputowani Sonnino i Fortis oświadczają, że będą głosowali przeciw udzieleniu rządowi votum zaufania, ponieważ Rudini zaznaczył w swojem przemówieniu, że jest za ewakuacyą Afryki. Rudini odparł na to, że w mowie swojej poruszył tylko kwestyę, pod jakiemi warunkami możnaby utrzymać kolonię erytrejską. Crispi oświadcza, że będzie głosował przeciwko rządowi. Przy imiennem głosowaniu nad wnioskiem Imbrianiego, według którego to wniosku izba miała dopiero za tydzień przystąpić do debaty w sprawie ewakuacyi Erytrei, okazał się brak wymaganej ustawą liczby głosujących, wskutek czego głosowanie odroczono do dnia następnego. Na korytarzach izby utrzymywano, że wniosek Imbrianiego zostałby odrzucony mniej więcej 159 głosami przeciw 25, przyczem 53 posłów wstrzymałoby się od głosowania.

Wiedeń 2 grudnia. *Wiener Abendpost* występuje przeciw pogłosce, jakoby rząd sprzeciwiał się wprowadzeniu przedłożenia o podatku giełdowym na porządek dzienny najbliższych posiedzeń parlamentu. Rząd sam wniósł to przedłożenie. Gdyby więc teraz bez rzeczowo usprawiedliwionych przyczyn sprzeciwiał się temu, to nie byłby w stanie uniknąć dyskusyi deputowanych nad tą sprawą, ale owszem zaogniłby ją tylko. *Wiener Abendpost* przypomina co kilkakrotnie minister finansów wypowiedział w komisyi dla należytości skarbowych, mianowicie że rząd kierować się będzie sytuacyą giełdy i stanem ekonomicznych interesów przy wyborze chwili, w której wprowadzi w życie ustawę o podwyższonym podatku giełdowym.

Wiedeń 2 grudnia. 28-go listopada br. wymówił rząd węgierski ugodę celno-handlową z rządem austryackim. *Fremdenblatt* czyni przy tej sposobności uwagę, że wypowiedzenie jest rzeczą czysto formalną, aktem niezbędnej ostrożności, który w żadnym kierunku nie przesądza nic i może być co najwięcej uważany za symptom tego, że nie zwalczono dotąd wszystkich trudności, co zresztą wie cały świat, od czasów, gdy toczyły się rokowania między austryacką i węgierską deputacyą kwotową, które nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Natomiast porozumienie między obu rządami bardzo się posunęło naprzód. Dlatego w wypowiedzeniu ugody ze strony Węgier widzi *Fremdenblatt* tylko zapowiedź porozumienia, które wkrótce niewątpliwie nastąpi.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 1 grudnia. Fr. Stanek z Wiszenki. O. Sala z Wysocka. Dr. Wł. Szayna z Drohobycza. S. Glasor z Liska. M. Rieger z Gorajowic. A. Bozon z Lyonu. M. Urbański z Haczowa. J. Krzysztofowicz z Mondziełówki. Reichard de Reichardsperg z Dąbrówki. J. Olszański z Podwołoczysk. J. Urbanowski z Poznania.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 1 grudnia. J. Horodyska z Horodnicy. St. Cieński z Wodnik. R. Grocholski z Rożysk. A. hr. Piniński z Suszczyna. A. Zawisza z Polski. A. Przedrzymirski z Woli Małnowskiej. St. dr. Trzebiński z Wołynia. G. Mac Intosh z Stryja. F. Fellner z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Podziękowanie.

Wielmożnemu Panu Dr. Henrykowi Licowi, c. k. lekarzowi powiatowemu w Brzozowie.

Przezacny Panie!

Twej umiejętnej wiedzy ojcowskiej oraz bezinteresownej opiece, zawdzięczam powrót do zdrowia memu mężowi z ciężkiej choroby. Powróciłeś Wielm. Konsyliarzu za łaską Bożą ojca licznej rodziny prawie z tamtego świata. Nie mogąc się wywdzięczyć w inny sposób, racz przyjąć na tej publicznej drodze, naszą wdzięczność oraz serdeczne podziękowanie staropolskim zwyczajem „Bóg zapłać“.

Henryka z Martinich Slavik
żona miejscowego pocztmistrza wraz z rekonwalescentem i rodziną.

Lwów dnia 2 grudnia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 316.50 do 318.50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 285.— do 288.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 382.— do 392.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.50, 4 proc. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.40 do 101.10. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.50 do 98.20 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.40 do 98.10, 4 proc. los. w 56 lat 97.40 do 98.10.

Obligacye za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.30 do 98.—, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102.70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97·— do 97.70, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.65 do 5.75. Napoleondor 9.50 do 9·60. Półimperyał 9.60 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.27 do 1.28. 100 marek niemieckich 58.65 do 59.10.

Wiedeń 1 grudnia. Notowania wieczorne. Kredyty 362·00, węgierskie kredyty 399·50, anglobank 153·00, bankverein 254·50, unionbank 286·—, länderbank 241.50, staatsbahny 346·12, lombardy 93·50, elbethale 269·00, akcye tytoniowe 150·00, rima 233.—, alpiny 84·20, renta majowa 101.35, węg. renta koronna 99·10, losy tureckie 49·90, marki —·—, ruble 118.—.

31)

POWRÓT

przez

Th. BENTZONA.

(Ciąg dalszy).

Jednakże zawsze wybiegała myślą ku Stefanowi. Czy spotkała jaką młodą parę, prowadzącą się pod rękę, czy patrzała na jakie dziecko, bawiące się przy niej, czy w jakikolwiek bądź sposób przedstawiło jej się życie rodzinne, powtarzała sobie: I my moglibyśmy być tak szczęśliwi! — A na utworzenie tego „my" zawsze tylko postać Stefana stawała przed okiem jej ducha.

Na tych smutnych rozmyślaniach, na tych napadach rozpaczy przeszła zima; wcześniejsza, niż w innych, dalej ku północy położonych krajach, wiosna zasiała trawniki fijołkami, stokrociami, tysiącem różnorodnych delikatnych i wdzięcznych roślin, składających się na florę Prowancyi, i obsypała różowemi pączkami wątłe gałązki wrzośni. Rocznica, którą zawsze religijnie święciła, przypomniała sierocie inne, w jutrzence życia doznane cierpienia. Ileż razy modliła się do matki, błagając o zesłanie z wysoka nieszczęśliwej córce odwagi! Ileż razy zdawało jej się, że słyszy odpowiedź, daną łagodnym, biernym, bez cienia energii głosem: Poddaj się!

O ile myśl o śmierci miała dziwny urok dla Reginy, o tyle myśl o poddaniu się, pojmowanem jako obowiązek, była jej nieznośną. Poddać się nędzy, która ją wkrótce ujmie w swe szpony, jeśli natychmiast nie weźmie się do wyrobniczej pracy, do dawania lekcyi naprzykład; mieć skromne wymagania i myśleć o zaspakajaniu potrzeb codziennego życia, kiedy dotąd buja marzeniem i pragnieniami tak wysoko, z wiecznem *excelsior* w duszy... nie, tysiąc razy nie! Czy po to ją przysłali do kraju, gdzie słońce leczy z dolegliwości tych, których nauka opuściła? Smutne wyleczenie, jeśliby się miało ograniczyć na tem, co się nazywa zdrowiem, a co się w niej objawiło lekkiem utyciem i rumieńcami na twarzy. Cóż to wszystko znaczyło, bez głosu!

Odzyskasz go pani stopniowo; jest już znaczne polepszenie; umiej tylko czekać, — powtarzał jej, dodając niektóre objaśnienia, znany bardzo doktor, leczący ją od początku, staruszek łagodny i różowo na świat patrzący, któremu ta, co chwila buntująca się chora, sprawiała niemało kłopotu.

Ale Regina nie wierzyła już ani w niego, ani w nic na świecie.

XXIV.

Jednego dnia po południu, Regina wyjechała na dalszy spacer do Antibes. Słońce silnie dopiekało, dając niejako ostrzeżenie, że zbliża się czas opuszczenia tych południowych stron kraju. Patrząc to na błękitno-zielone morze, którego brzegiem jechała, to na miryady róż, tworzących żywe płoty przydrożne, to na srebrzysty horyzont, od którego malowniczo odbijały ciemne sosny, myślała ze smutkiem o nagrobnym napisie, jaki zauważyła na cmentarzu w Rzymie, o napisie, poświęconym cieniom młodego aktora, dziecka, który „przez dwa dni występował w teatrze w Antibes, podobał się i tańczył". Ten krótki napis nabierał dla niej przejmująco-bolesnego znaczenia.

Siebie biorąc, i jej powodzenie nie było dłuższem od powodzenia Septentriona, owego młodziuchnego tancerza. Jednocześnie pytała siebie: gdzie się ma udać na nowe znów wyganie? Śmiertelna nuda ją ogarniała na samo wspomnienie, że musi myśleć o sobie i o drobiazgach codziennego życia.

Przybywszy do celu przejażdżki, wysiadła, zostawiła na drodze odkryty powóz, którym przyjechała, i weszła do wspaniale pięknego ogrodu, uchodzącego za najciekawszą osobliwość botaniczną w całej okolicy. Długo błądziła wśród drzew i roślin, nieznanych sobie, a pochodzących z podzwrotnikowego klimatu, które wytworny smak ukształconego ogrodnika umiał z wielką sztuką połączyć z roślinnością krajową; zachwycająco ozdobił niewielki półwysep, położony u stóp fortu. Wspaniałe grupy drzew, fantastycznie porozrzucane po trawnikach, nie zasłaniały jednakże widoku czerwonych, jakby spalonych od słońca, skał nadbrzeżnych, ani morza, którego niebieska, spokojna bez najmniejszej skazy powierzchnia, wydawała się dalszym niejako ciągiem horyzontu.

Jakim sposobem ten czarodziejski obraz mógł nasunąć Reginie poważny, cienisty las w Fontainebleau, grunt twardy i kamienisty, pokryty odwiecznemi dębami? jak mogła te porzucić, śmiejące się widoki porównywać z posępnym widokiem drzew, wśród zimy ogołoconych z liści, a wśród lata pozbawionych urozmaicenia i różnobarwności?

Zdawało jej się, że to czarujące ustronie stosowniejszem było na rozkoszne igraszki bogów Grecyi i Italii, niż na schronienie dla ludzkich smutków i dolegliwości. Czuła się w niem dziwnie obcą. Piękność morza, promieniejący blask nieba, bezmierne bogactwo roślinności: wszystko to w okrutny sposób urągało jej opuszczeniu, gdy tymczasem tam znalazłaby smętniejsze, poważniejsze, ale więcej odpowiadające jej usposobieniu, otoczenie i wspomnienia młodości, tak drogie sercu i przywiązujące nas do życia, chociażby to życie sto razy nas zawiodło.

Przykrości, jakich tam doznawała, jakżeż były nic nieznaczące w porównaniu z obecnemi cierpieniami! Dawniej przeciwności potęgowały jej siły, gdy tymczasem dziś czuje się bez władną! Całe wieki dzieliły ją od przeszłości! Wtedy żyła miłością córki, poświęceniem, przyjaźnią, wszystkiemi naturalnemi uczuciami, które się nie wyczerpują i których nie niweczą żadne okoliczności życia.

Jakżeż ją pociągała ta przeszłość, wówczas lekceważona, dziś tak droga jej sercu! Nieubłagana jednakże Nemezis zamykała podwoje tego schronienia, jedynego dziś dla niej, do którego wyrywała się wszystkiemi władzami swej zbolałej duszy; nie była tam ani wezwaną, ani pożądaną prawdopodobnie; jej duma umiała ją na zawsze trzymać w oddali od miejsca, którem dawniej wzgardziła; teraz niepodobna jej było wrócić do skromnego kącika, z którego niegdyś niepodobna jej się było wydostać.

Zajęta temi trapiącemi myślami, zwolna zbliżała się do powozu, stojącego w cieniu drzew rozłożystych.

Jakże się zdziwiła, zobaczywszy całe siedzenie pokryte jaśminem, którego prześliczne gatunki podziwiała przed chwilą w jednym z klombów! Najwykwintniejszy, najpospolitszy jaśmin, nawet ten, co otacza ogrodzenie skromnego domku, w którym mieszkała z matką, był jednym z jej najulubieńszych kwiatów; ale któż mógł o tem wiedzieć, albo to odgadnąć?

Prawdopodobnie miejscowy ogrodniczek chciał jej zrobić przyjemność; sięgnąwszy więc do kieszeni po pieniądze, spytała młodego Prowansalczyka, trzymającego lejce, czy nie ma gdzie w pobliżu ogrodnika, żeby go mogła wynagrodzić za jego uprzejmość.

Woźnica, chłopak o ciemno-fijołkowej cerze i przebiegłym wyrazie twarzy, potrząsł głową z uśmiechem:

— To nie ogrodnik, proszę pani, to jakiś pan.

— Nie znasz tego pana?

— Nie, pani.

— I powiedział, że to dla mnie te kwiaty?

— Nic nie mówił; sądziłem, że pani wi...

— To zapewne jakaś pomyłka. Jak ten pan wyglądał?

— Nie przypatrzyłem mu się. Zdaje mi się, że blondyn, wysoki, czarno ubrany.

— Czy młody?

— Oh! nie! — odpowiedział młody woźnica, który miał zaledwie lat szesnaście.

— To szczególne! — rzekła. — Może się przecież rzecz wyjaśni.

Przez całą drogę myślała o tych kwiatach. Od bardzo już dawna najdrobniejsze nawet zdarzenie nie urozmaiciło jej jednostajnego życia, a nie wliczała w rachunek spotkania jednego dziwacznego Anglika, którego, robiąc sprawunki w Cannes, widziała przed kilku dniami. Będąc niegdyś wielbicielem jej talentu aż do śmieszności, poznał ją natychmiast, dzięki bowiem jej, zdawało mu się przez chwilę, że się nie nudzi i że lubi muzykę, jakkolwiek w rzeczywistości, prócz *God save the queen*, nic innego nie rozumiał. Od chwili zniknięcia śpiewaczki, umiejącej tak zbawiennie wpływać na niego, spleen na nowo go opanował. Cóż więc za rzecz dziwna, że się z nią tak niespodzianie spotykał!

Był uprzedzająco grzecznym i prosił o pozwolenie złożenia jej swego uszanowania. Z trudnością mogła uniknąć dania mu swego adresu; może jednak dowiedział się gdzie mieszka, i może to on w tak delikatny sposób obdarzył ją tym jaśminem? Wprawdzie był rudy i szpakowaty, ale w ostateczności mógł ujść za blondyna; był średniego wzrostu, ale mały woźnica, biorący każdego starszego od siebie za starego, mógł także każdego wyższego od siebie wzrostem brać za wysokiego.

Myśl, że podobny natrętnik może ją prześladować swojemi grzecznościami, wprawiła Reginę w zły humor; gniewnie odsunęła kwiaty, trzymane na kolanach, i postanowiła bronić się energicznie przeciw wszelkim zamachom na swoją samotność.

C. d. n.

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski

Papier z fabryki [illegible]

Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Żorża. Zarządca W. Hedak